



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

W ALBUMIE A. C...

(Wiersz *Maryi Bartusówny*, niedrukowany za życia).

Chwila nas łączy na ziemi,
I chwila na wieki dzieli,—
Króciuchna jak oka mgnięcia!

Oóż, strojne blaski złotemi,
Wypływa z czasów topieli?
Wspomnienie, jedno wspomnienie!

Ono z aniołem przeszłości
Przeżyła życia odmetry,
Odwieczne zwiedza zwaliska,

Po starych cmentarzach gości,
Z księgi żywota zamkniętej
Czytając różne nazwiska.

Czy uśmiech minionej wiosny,
Czy łzę wskrzeszonej boleści,
Czyli myśl tęskną w rozłące —

Wszystko ten anioł żaloszny
Z rozkazu Pana pomieści
W swej szczerozłotej skarbonce.

Każda tu chwila przeżyta
Jakąś część naszej istoty
Temu duchowi poświęca;

I każdy kwiat, co rozkwita,
I mrący motylek złoty,
I drobna łązka dziecięca!

Bo kiedyś tego anioła,
Co życia zapisał dzieje
Na pergaminie wieczności,

Stwórca przed sąd swój powoła,
I wielkie światło rozleje
Na ciemną kartę przeszłości.

Natenczas ujrzą się wszyscy,
Co choćby uściskiem ręki,
Choć ócz się zbiegli spojrzaniem —

Ujrzą dalecy i blizcy
W promieniach nowej jutrenki —
Jak się widzieli wspomnieniem.

MARYA BARTUSÓWNA

(Wspomnienie).

(Dokończenie).

Przez okna szkolnej sali dobrze widać było drzewa, strumień, kościół parafialny i łąki, i wzgórze na końcu wsi; a całość ta uszczęśliwiła młodą pracowniczkę. Dodać należy, iż właściciele Sokolnik byli sprowadzonymi tu przed laty Mazurami, o usposobieniu wesołym, pojętnym, ożywionem, co dla nauczycielki było ułatwieniem w pracy. Z zapałem wzięła się też do niej. Programat szkolny przez ręce *Maryi Bartusówny*

przechodził, jak przez pryzmat poetyczny, zabarwiony promieniami jej umysłu, owiany technieniem estetycznym, na którym i dusze prostactwa poznać się umieją i odczuwają je mimo prostactwa swego. Dzieci rozwijały się i uczyły gorliwie, gromada tych pastuszków i dziewczeczek wiejskich nie wiedziała, że ma przed sobą poetkę, obdarzoną pierwszorzędnym nawet talentem, autorkę pięknego tomu poezji, współpracowniczkę wielu pism poważnych — tego nie wiedziała, ale ciągnął ją ku niej czar jej wymowy, umiejętność obejścia się, i ta nauka podawana w sposób niezwykle, nieprzytłaczający umysłu, a otwierający szerszy widnokrąg myśli. Dzieci wychowane w prostocie na łonie natury odczuły w swej nauczycielce coś wyższego i wiedziały, że ona nad nimi tą swoją wyższością panuje. Lecz nie na samej w miły sposób podawanej nauce kończyła *Marya* naukę ze swymi uczniami. I w kościele także miała oko na nich, do chat zaglądała śledząc ich postępowanie, rozpytując rodziców i zasięgając ich rady, dając starszym do czytania popularne książki ludowe i pisma peryodyczne, jak „*Pszczołka*“ i „*Wieniec*“, w których umieszczała własne utwory, zastosowane do kierunku tych wydawnictw: a wszystko to zajmowało niezmiernie czytających i szło z chaty do chaty. A gdy na Wigilię Bożego Narodzenia, o zmroku, w szkolnej sali, nasza poetka zapaliła kolorowe świece na choince, gdy wyuczone przez nią dzieci zaśpiewały zgodnym chórem „*W żłobie leży, któż pobieży kolendować Matemu*“; gdy się w głębi ukazała oświetlona szopka ze żłobkiem, z pastuszkami, Królami i Gwiazdka w górze, szopka robiona wieczorami przez samą nauczycielkę — powstało takie wzruszenie między zaproszonymi na tę uroczystość rodzicami uczniów i uczennic, że ojcowie ze łzami dziękowali za taką piękną kolendę, a kobiety całowały ręce uradowanej sprawczyni tej uciechy. Był to rzeczywiście widok godny większego grona patrzących, ale chwile takie, wywołane jedynie po-

trzebą serca i głosem idealnie pojętego obowiązku, mają też za świadków tylko wewnętrzne zadowolenie i zasługę, która dopiero późno na światło wydobyła bywa.

Mieszkańcy Sokolnik umieli być wdzięcznymi. Jak tylko z wiosną pojawiły się kwiaty, i potem już przez całe lato, poetka, otwierając rano drzwi swoje, zastawała co dnia zawieszane na klamce równianki pierwiosnków, bławatków, niezapominajek, makówek lub czasem na próg rzucony w pośpiechu pęk kwiatów tykoko zerwanych. Gdy pracowała u siebie w pokoju, wpadały przez otwarte okno garstki polnych ziół, rzucone w przechodzie przez idące koło szkoły dzieci. Nieraz kobiety zamożniejsze nieśmiało pukały do drzwi, prosząc o przyjęcie kilku jaj, mleka, lub owoców i dar ten serdecznie ku zadowoleniu ich dobrych chęci bywał niekiedy przyjmowanym. A trzeba było widzieć—gdy poetka nasza o zachodzie słońca, po dziennej pracy, szła wiejską drogą ku lasowi na przechadzkę,—jak z okien chat, zza żywopłotów, z sadów chłopskie dzieci wołały na cały głos: „Nasza pani!... nasza pani idzie! nasza panienska!“ jak witały ją radośnie, a postępując za nią zdaleka, jak czekały tylko znaku lub słówka, aby im wolno było pójść razem! Wtedy odbywała się prawdziwa nauka pogładowa, na okazach zachodzącego słońca, na linii horyzontu odznaczającej okrągłość ziemi, na przykładach bujących nad gwiazdami ptaszków i deptanych bosami nóżkami kwiatów i ziół. Ona mówiła; dzieci słuchały i pytały. Nie było to zapewne wypoczynkiem po całodziennym trudzie, ale dusza poetki, sumienie nauczycielki, cierpliwość kobiety tak kazały. O zmroku z najdalszych chat dzieci odprowadzały swą mistrzynią i tak w świetle księżyca, wśród pól falujących zbożami, wśród podnoszącej się wieczornej mgły wracała poetka do domu „wiejskim otoczona dworem.“ Tak nieraz widzieli ją odwiedzający ją w Sokolnikach znajomi ze Lwowa.

Starsi we wsi inaczej umieli okazać swą wdzięczność. Gdy zaszły okoliczności, że Marya Bartusówna swą ulubioną szkołę opuścić postanowiła, gromada sokolnicka z wójtem na czele przyszła osobiście ją upraszać, aby koniecznie została, aby ich—jak się wyraził mówca—nie opuszczała, bo co oni potem będą z dziećmi robili, kto im „taką panienkę“ zastąpi i t. p.

Ze łzami w oczach perswadować im musiała, że nie podobna jej tu zostać; ale ci prostoduszni ludzie zrozumieć nie mogli, że istnieć mogą jakieś niewidzialne powody, które postanowienie nauczycielki przeważać muszą na inną, a nie na stronę ich przywiązania i prosby. Po paru dniach, naradziwszy się, powrócili. Oto, ponieważ chodziło i o mieszkanie, zatem gmina sokolnicka swim kosztem wybuduje małą chatkę byleby „ich panienska została z nimi.“

Było to rzadkim dowodem uznania tego ludu, któremu poświęciła Marya Bartusówna swój czas i siły; ale na ową chatkę trzeba było poczekać czas dłuższy, bo nie wyrosłaby tak prędko z ziemi, jak powstała na gruncie tych serc poczciwych: i poetka z duszą pełną żalu postanowiła nieodwołalnie—wyjechać. Aby ją czem można od zamiaru odstręczyć, żaden z gospodarzy nie chciał dać wozu i koni, któremi ją tyle razy do Lwowa wozili, mówiąc,—że nikt jej teraz ztąd wywozić nie będzie! Ale stać się to musiało: wóz i konie stanęły przed szkołą i robiono już przygotowania do drogi.

Wiejskie dzieci biegały niespokojnie dookoła, usiłując przeskadzać, ile można, w pakowaniu. Nadeszła chwila, nauczycielka zegnała swe ukochane i kochające dzieci, poetka rzucała kraj piękny i lud dobry, młoda panienska opuszczała spokojny kącik, gdzie mogła pracować na życie, i znów szła w świat, co, choć stoi otworem, i szeroki i wielki jest, a jednak tak bywa ciasnym i trudnym do przejścia, tak bywa małym, że niejedyn pracownik z talentem i wytrwałością miejsca sobie na nim znaleźć nie może.

Za wozem biegły dzieci aż ku wioskowej granicy, wołając ze łzami „Pani nasza“ i rzucając ostatnie kwiatki do wozu. Za wrotami tej wioski zamknął się szczęśliwy okres życia Maryi Bartusówny. Często też wspominała to miejsce

z przyjemnością i tęsknotą. Teraz kolejno szły troski, żaloba, zawody, a siły słabły, wyczerpywane nadmierną pracą na innych posadach, jednych gorszych od drugich. Tego rodzaju miejsce było i w Nienadowej pod Dubieckiem. Wieś rozwlekła, smutna, ani parafii, ani sąsiedztwa, ani nikogo, ktoby się zainteresował losem szkoły, a sama szkoła! Budynek stary, spleśniały, porośnięty mchem z wierzchu a gryzbem we środku, ciasny, duszny latem, przewiewny zimą, oddalony od chat, stojący jakby na pustkowiu, pełen wichru jesienią, jak dzwonnica. Dzieci pełna izba, nikogo oprócz jednej nauczycielki, która, przybywszy, ze zdumieniem patrzyła, a może i z pewnym przestachem, na tę szkołę, będącą pod względem administracyjnym w zawiązku, pod względem pomieszczenia—w ruinie. Musiała sobie radzić sama, tak, że młodsze dzieci uczyły się rano, starsze popołudniu; lecz tym sposobem ona jedna zapełniała swą pracą wszystkie godziny, mozolnem uczeniem czego innego każdej garstki dzieci, podzielonych już niby na klasy. A do tego i nauka niedzielna! W tej odsuniętej od świata wsi niczego dostać nie było można, miasteczko daleko, dwór objętny, a lud zrazu nieufny i niechętny nowej nauczycielce, bo rozgniewany wprowadzaniem nauki przymusowej, w zaniedbaniu której konfiskowano po chatach za karę pościel i odzienie. I na takie-to miejsce i stosunki nie wahano się narazić młodej nauczycielki, tak dobrze zasłużonej na poprzedniej posadzie. Nie miano tu względu na to, że jeśli jest w kraju taki talent szukający w pracy urzędowej podpory, to mu się drogę ułatwia i stosuje okoliczności do jednostki wyjątkowej. Ale tego rodzaju obywatelskiego poparcia na ten raz nie udzielono. Jeśli wyjazd z Sokolnik był smutnym, to przybycie na to nowe miejsce, choć nie mniej przykre, miało i swe komiczne strony, które wesoły umysł poetki umiał pochwycić i rozjaśnić sobie niemi ponury stan rzeczy. Stanąwszy przed rudera, spytała: Czy to jest szkoła?

— Ha, tak—rzekł pokazujący drogę wieśniak.

— A gdzie płot od dziedzińca? tylko ślady widać...

— Ha, cóż? Pan poprzednik wyrąbał w zimie i spalił, bo mu było okrutnie zimno.

— A czemu drzewka połamane?

— A to następca tamtego wyciął, bo mu też było zimno!

— Czemu ławek brakuje?

— Ha, cóż? ostra była zima—dodał wieśniak, nie tłumacząc już dalej. I tak nauczyciele ogrzewali się, paląc samą szkołę. I do takiej-to atmosfery dostała się poetka. Tutaj był też początek zwalczanej długo siłą młodości choroby, która ści gała nieboszczkę aż do końca. Po takim przyjęciu trzeba było jeszcze zwalczać niechęć włóścian do szkoły, przekonywać ich do książki, robić nieledwie układy o każde dziecko z osobna i stosować plany godzin do zajęć gospodarskich w polu i w chatach. Po jakimś czasie, gdy naocznie przekonywać się zaczęło o dobrym wpływie nauki, gdy znów rodzice przez dzieci poznali dążenia kierowniczkę, gdy książki, które uczniowie przynosili do domu, aby je według polecenia czytać głośno wieczorami, podobały się i starszym, szkoła nabierała znaczenia i powagi, dzieci przybywało więcej i znów cała ludowa biblioteczka Maryi Bartusówny rozeszła się po chatach. Kobiety ujęła sobie uczeniem dziewczynek robot, a szczególnie podobały się chustki haftowane na głowę, chłopcy rysowali ze wzorów, wszystkie dzieci śpiewały chórem pieśni przeróżne z książek i i śpiewnika lub stosowane do okoliczności przez nauczycielkę. Znow i tu rozbudziło się zajęcie, uznanie i wdzięczność serc poczciwych, ale ich ciepło nie mogło ogrzać fatalnego budynku szkolnego, zakrytego zimą zaspami śniegu, którego nie było komu odgarniać. Znow i tu na rocznym egzaminie zebranych wiele osób urzędowych i prywatnych, nawet z owego dworu, co w zimie o szkole nie wiedziało, postępy dzieci zadziwiły a w uznaniu swej pracy i sumiennosci Marya Bartusówna dostała urzędowy akt podziękowania i pochwały z rady szkolnej okręgowej. Nic jednak wrócić nie mogło sił nadwreżonych całodzienną pracą w szkole, a nocną nad poezją

i czytaniem. Nie mogła też osoba zajmująca się literaturą i biorąca w niej czynny udział zstawać długo na takim pustkowiu, odcięta od świata, od ruchu umysłowego, od towarzystwa, od bibliotek i od grona ludzi życzliwych, choć na tych ostatnich nie zbywało jej tak całkiem i w okolicach Dubiecka, gdzie znalazła się dusza szlachetna jednej z tamtejszych obywaterek, umiejąca odczuć talent poetki i uczyć jej pracę społeczną. Z wielu jednak wymienionych już względów a szczególnie z powodu zdrowia, które trzeba było ratować, wróciła Marya Bartusówna do Lwowa w nadziei pokrzepienia sił i wystarania się o lepsze miejsce. Ale i zdrowie i posada zawodziły, przytem literackie interesa nie mogły już iść gorzej. Przepędzając czas dłuższy na prowincji, wyszła z literackich stosunków; zawodziła jej zaufanie, nie płacono za pracę, nadużywając ich w najrozmaitszy sposób bez jej wiedzy, robiąc jej tym sposobem nieprzyjaciół i sprowadzając kłopoty, których się najmniej można było spodziewać. Kiedy się w literackich sferach dowiedziono, że Marya Bartusówna umilkła, ona wtedy walczyła na wsiach z trudnościami położenia rzuczonej samotnie na prowincję nauczycielki; piętej wyrzucano, że nie rozwija dostatecznie wielkiego z natury talentu, ona pracowała nad rozświetleniem wiejskich główek, a jako dowód, że i o poezji nie zapomniła, starczy cały zbiór najśliczniejszych poezji pozostały w rękopiśmie, na który znaleźć nie mogła wydawcy. Oby choć teraz znalazł się wydawca inteligentny, coby umiejętnie, w związku z pierwszym tomem, drukowanym we Lwowie, połączył rozrzucone w tygodnikach i leżące w rękopiśmie poezje, a dodając do tego poemat „Czarodziejską Fularkę“ i dramat „Wanda“, ¹⁾ złożył jednolitą całość prac zgasłej przedwcześnie poetki! Byłoby to prawdziwą przysługą dla literatury, a zarazem aktem uznania dla autorki, którą, wprawdzie zrazu przyjęto głośnie oklaskami, ale, jak często bywa, nie wytrwano w ułatwieniu jej trudnej drogi.

Podobno koło literackie we Lwowie zamierza przedsięwziąć takie zbiorowe wydanie poezji Maryi Bartusówny, a z dochodu, jaki przyniesie pręnumerata, utworzyć fundusz stały dla matki zgasłej poetki. Niestety, czemuż to nie ze cztery lata temu! Wydanie nie potrzebowałoby być *pośmiertnem*.

Ostatnie lat parę, przepędzonych we Lwowie, były pasmem męczących zabiegów, trosk i posuwającej się ciągle naprzód choroby. Przynajmniej osłoda było tu to, że mogła wreszcie po długiej rozłące połączyć się z matką. Wśród różnych smutków nie traciła jednak nigdy swobody umysłu, i cierpiąca często dotkliwie, z bólem w gardle, prawie już bez głosu, żartowała jednak z przykrości swoich, z własnej choroby, z zawodów i przebytych trudów. To też i tu odwiedzała ją grono szczerych przyjaciół, których do smutnego domku na oddalonym przedmieściu ciągnęła ta czysta i pogodna dusza, rozjaśniająca obcym smutną atmosferę, w której sama żyła—dusza tak zawsze spokojna, jak niebo, przez które przeciągają burze na to tylko, aby tembardziej uwydatnić całą piękność błękitu. Ileż tam miłych, zajmujących i poetycznych chwil spędzono razem! Każdy mógł tu swobodnie wyrażać myśl swoją i zdanie, a przedmiotem rozmowy była najczęściej literatura, sztuka lub poważne kwestye bieżące. Miły dowcip samej poetki zmieniał nieraz ten nastrój umysłów i odzywał się wtedy śmiech zebranych, tak wesoły, jak śpiew owego pieszczzonego kanarka, który był jedynym towarzyszem poetki w jej samotnych wędrówkach nauczycielskiego zawodu i rozweselał ponure ściany nienadowskiej szkoły. Niemniej odwiedzający Maryę Bartus widzieli z boleścią postęp nieubłaganej choroby i gasnącą tak dawniej pełną życia istotę. Nie przeżywszy lat trzydziestu, umarła dnia 2 Października b. r. we Lwowie.

Oto kilka szczegółów z życia Maryi Bartus, nie dość znanej poza swoją prowincją, gdzie ją wliczono już w grono utalentowanych pisarzy,

1) Część tego utworu drukowaną była w *Tygodniku Ilustrowanym* w r. 1884.

jako autorkę pięknych prawdziwie poezji i kilku zajmujących nowel: „Po śmierci“, „Duch ruin“ i „Gałązka konwalii“. Ale i tu nie była dość znaną i uznaną, jako pełna ducha pracowniczka w ludowej szkole i jako kobieta, która, młodo na samotną drogę życia wypchnięta, umiała mimo trudów i przeciwności, mimo przeszkód, jakie świat stawia, iść wytrwale, spokojnie i z godnością, a obok tego mieć zawsze pogodne czoło, serdeczne i współczujące słowo dla drugich i wiarę, że więcej jest ostatecznie dobrego niż złego. Oburzała się i ona nieraz na niesprawiedliwość i ciemne strony ludzkiej natury; ale wtedy, gdy nie o nią, lecz o wielkie sprawy chodziło. Egoizmu nie było w niej wcale, a miała tak gorące pragnienie poezji, i to poezji w życiu, że wolała się nieraz narazić na dotkliwie straty materialne, niż w czemkolwiek ustąpić z idealnych swych na życie poglądów.

Cześć jej pamięci. Niech tych kilka słów wspomnienia będzie choć krótkim echem, pozostałym od cichego przesunięcia się przez życie tej niepospolitej istoty, która poezją i czynem umiała się dobrze swej ziemi zasłużyć, a w sercu życzliwych zapisać się tak, jak zwrotka pięknej poezji zapisuje się na kartach księgi wiernie jej strzedz mającej.

Szczesna.

FRYC I FRYCEK

NOVELLA

Michała Wołowskiego.

(Dokończenie)

Salwa z dział i kartaczy odpowiada mu na ten okrzyk entuzjazmu, ale Douay już dalej swych szyków w ogień prowadzić nie może; porusza jeszcze ustami, widać, że jeszcze raz chce krzyknąć: „Niech żyje Francja!“ — nagle nogi się pod nim uginają, na usta występuje mu krew; Douay upada i kona, rażony ułamkiem kartacza.

Żołnierze jego mieszają się, ustać nie mogą na miejscu, pruskie kartacze i granaty dokoła sięją zniszczenie.

Wśród szeregów przebiega szmer bojaźni i zwątpienia: „Ratuj się kto może“ — słychać jak na okęcie przy zbliżającym się odgłosie burzy.

Chwilka jeszcze: a z tych batalionów i śladu nie pozostanie.

Naraz na spienionym koniu staje przed frontem tych wahających się człowiek jakiś, i pokazując na trupa generała, woła:

— Tchorze! orzeł Francji tam: daciez mu zginać!?!..

To zdechlaczek salonów paryzkich, — to baron.

Jednym skokiem dobiega do trupa zabitego wyciąga zpod niego znak pułku, podnosi do góry i woła:

— Naprzód, za mną!..

I znów ta przelękniona massa nabiera ducha, znów przyciska bagnet do piersi i idzie w ogień.

Z wieży patrzy doktor, — serce mu bije gwałtownie, — widzi porażkę.

Jak okiem sięgnąć tylko, wszędzie bagnety i pikelhauby pruskie, a ta mała gromadka żołnierzy idąca do ataku wygląda jakgdyby motyl duszony przez mrowisko całe.

— Potrzebny już tam jestem — mówi do siebie doktor i powoli z wieży schodzi zaczyna, po chwiejących się od starości schodach.

Zeszedł zaledwie na pierwszy krużganek i zatrzymał się. We framudze okna stała tam druga postać, rękę przyciskała do piersi, dyszała równie i patrzyła w kolumnę, którą jej mąż w ogień prowadził.

— Zejdź pani, tu niebezpiecznie — szepnął doktor.

— A tam bezpiecznie? — rzekła baronowa pokazując ręką na pole bitwy. — O! wierz mi, doktorze, nie kochałam go nigdy więcej, niż dzisiaj. Przebaczam mu moją krzywdę i błogosławię; on

wyjdzie czysty z tej krwawej kąpieli; obmyje wszystkie grzechy swoje, życie inne rozpocznie.

Grzmot dział przygłuszył dalsze słowa baronowej. Prawie bezsilną sprowadził ją na dół doktor.

— A Stella? — spytał.

— U siebie, modli się — była odpowiedź.

Odgłosy strzałów i wrzawa walki dochodziły uszów Frycka, który, w towarzystwie starej jakiejś kobiety ze wsi, w lamusie spoczywał. Gorączka ogarniała go coraz bardziej, twarz mupałała, oczy błyszczały.

— Nie, nie mogę — zawołał, zrywając się z łóżka — leżeć tutaj beczynnym, gdy oni tam walczą..

I zerwał się z pościeli i gorączkowo a śpiesznie ubierać się począł, pomimo opozycji tej, która nad nim czuwała. Wyteżył wszystkie siły, całą energią młodej duszy spożytkował na to, aby wyjść przed dom i spojrzeć, co się na świecie dzieje. Przed oczyma mignęła mu niebieska sukienka i okrągły kapelusik.

— Ach! kto wie, czy ją zobaczę jeszcze — szepnął i powłókł się w stronę pałacyku.

Dochodził już prawie do furki ogrodowej, już za kławkę jej chwycił, gdy naraz sił mu zbrakło, kolana się ugięły i u samego progu wejścia ukląkł.

Mówią ludzie dużo o magnetyzmie serc kochających, o przecuciach, o odgadywaniu myśli. W tej chwili można było powiedzieć, że między Fryckiem i Stellą zawiązała się właśnie ta nić tajemnicza, która im nakazała do wspólnego dążyć celu.

I ona myślała:

— Ach! może go nigdy już nie zobaczę! Za chwilę Prusacy tutaj przyjdą, zniszczą, może zabiją; przecież to nie grzech, gdy go ujrzę choćby przez małą szczelinę okna.

I poszła także do furki ogrodowej, a kiedy Frycek osłabiony klękał, ona naociecz otworzyła furtkę i w ramie jej ukazała się niby obrazek przed oczyma klęczącego.

— Pani, to ty... — wybiegło mimowolnie z ust młodzieńca.

— To pan... — mimowolnie zawołała Stella.

I znów siły nagle chore odzyskał, zerwał się na równe nogi i, chwytając Stellę za rękę, zawołał:

— Spotykamy się poraz pierwszy w życiu i bodaj czy nie poraz ostatni. Przez całe długie tygodnie leżałem tam, myśląc tylko o tobie, pani; myślałem — bo cię kocham. Myślałem, choć wiem, że cię dla mnie nienawisci uczono, a miłość moja, czuje to, jest tak wielką, iż z nią skonać muszę. Tam wre walka, wszystko mi jedno jaka... Walczą dwie siły; którakolwiek z nich zwycięży, ja tutaj zawsze zwyciężonym zostanę: wypędzą mnie z tego rajy czy swoi, czy obcy... Ja chcę umrzeć, kocham moją ojczyznę, ale brzydzę się ludźmi, którzy jej wielkość na zbrodni gruntują. Ojciec mój poszedł tam, do nich, pomagać sile, zostawił mnie tutaj nawet, gotów i mnie poświęcić dla idei wielkiej potęgi Niemiec. Och! potęga, któż o niej nie marzy?... Ale nie taka do niej prowadzi droga; taką ja się brzydzę, taką ja przeklinam. To droga starych: my młodzi taką iść nie chcemy, taką nam iść nie wolno. Droga nasza zwycięży świat, ale miłością zmusi go do schylenia czoła przed nami, nie bagnetem. Tak mówi do ciebie syn przyszłych Niemiec, który cię kocha nad życie i przyszedł tutaj, aby ustóp twoich wyzwonić ducha.

Stella zalekniona słuchała tych słów namiętnych, gorących, pełnych ognia, w których czuć było prawdę. Słowa takie słyszała poraz pierwszy w życiu: nie też dziwnego, że drżała jak listek osiny, że na poly otwarte usteczka nie umiała nagle znaleźć odpowiedzi na ten potok słów młodego Niemca.

— Przestraszyłem panią — mówił dalej Frycek — nie chciałem, ale zdawało mi się, że bym spokojnie nie umarł, gdybym ci tego wszystkiego nie powiedział.

— Panie... zadrżało w powietrzu, ale dalsze słowa przygłuszył huk bomby, która poza ogrodem wrywszy się w ziemię, wywaliła część muru.

Stella zbladła i w tej chwili padła byłaby niezawodnie na ziemię, gdyby Frycek nie schwycił jej w swoje objęcia i nie podtrzymał. Przeszła mała chwilka. Ona otworzyła oczy i spojrzała w oczy jego, które jej zasłoniły świat cały, pozwoliły zapomnieć o huku dział i granatów.

O! Frycek pomimo tego huku i tej wrzawy do brze wtedy słyszał te tajemnicze a potężne słowa, które — dowiedzioną to już jest rzeczą — silniejsze od bomb i granatów wywołują wrażenie. Dwa to słowa tylko: a na temat ich ileż stworzono arcydzieł i ilu ludzi poniosły one w niebiosa!

— Kocham ciebie... brzęczało też w uszach Frycka silniej od wszystkich idei, poglądów i wszystkich akordów wojennego chaosu. Oczy ich były coraz bliżej siebie i coraz bliżej usta...

Spoili się nareszcie w jednym mgnieniu oka i dopowiedziały reszty, czego wrzask wojenny dopowiedzieć nie pozwolił.

A wrzask ten był coraz silniejszy, coraz bliższy, coraz wyraźniejszy — ale co on ich dwojga w tej chwili obchodził! Patrzyli się na siebie i utonęli wzajemnie w swych oczach.

Być może, iż jaka błąkająca się kula byłaby tak ich zastała na ścieżce tych ogrodów i w chwili najrozkoszniejszej dała im to zadowolenie, jakiego życie dać nie miało.

Ale nagle na ścieżce zjawił się doktor i baronowa, przestraszeni szukając Stelli.

Zbudzili marzących, którzy z pewnym wyrzutem patrzyli się na przybyłych, za to, iż im przerwali najpiękniejszą chwilę życia.

Doktor i baronowa biegli prawie ku Stelli, oboje bladzi i przerażeni.

— Jesteśmy ze wszech stron otoczeni, szczątki korpusu generała Douay cofają się tutaj, trzeba uciekać — mówił doktor stanowczo.

Ale zaledwie skończył ten frazes, gdy szczupła gromadka żołnierzy przez ogród wpadła i uszykowała się w carré niesłychanie szybko na głównej jego alei. Ze wszech stron ozwał się świst kul, a kilka uderzeń siekier pruskich saperów, przewróciło parkan.

Zaleknieni — doktor, baronowa, Stella i Frycek w osłupieniu niemym patrzeli, co się naokoło nich dzieje. Stella tuliła się do piersi Frycka, który z wykrzywną odbólu twarzą, patrzył naokół w przestrzeń. Zwalony parkan pozwalał wszystko widzieć dokładnie, co się tam działo.

Kościółek, w którym modliły się dzieci, leżał w gruzach, trupy drobnych ciał wały się wśród rumowiska; pod jedną ścianą sterczącą, jako resztką murów zwalonych, żołdak pruski sprawiał sobie szalone widowisko.

Dwudziestu chłopów alzakich, którzy pomagali armii francuskiej, ustawiono pod tą ścianą rzędem i skierowano w nich lufy karabinów służących.

— Krzycz — niech żyją Niemcy — wołał łamaną francuszczyzną jakiś officer.

— Niech żyje Francja! — odpowiedziało dwadzieścia piersi na to żądanie.

— Stój, cel, pal — ozwało się w powietrzu.

Frycek rękawem oczy zakrył i szepnął z bólem:

— To tak idzie moja ojczyzna do chwały!.. Odślonił oczy: dwadzieścia ciał martwych lażało już na ziemi pod ścianą rozwalonego kościoła.

Ale Frycek wnet ztamtąd oczy odwrócić musiał; na środku ogrodu inny, straszniejszy przedstawił mu się widok.

Na lekkim wzniesieniu ziemi w jednym ręku trzymając drzewce ze złotym orłem na szczycie, klęczał na jednym kolanie baron, a wokół niego garstka towarzyszy nabijała broń, strzelała do atakujących. Baron był ranny, z lewego boku sączyła mu się krew, był blady, a jednak wołał:

— Niema pardonu, umrzemy przy naszym orle!

Widocznie tym, co atakowali, chodziło o więźcie żywcem walczących, bo strzelać przestali i szli na bagnety.

Rozpoczęła się wtedy bójka na pięści, straszna i krwawa.

Frycek był pewien, że z tych broniących orła nikt żywym nie wyjdzie.

Nagle pociemniało w powietrzu, huk straszny przygłuszył wrzawę. Frycek zdrętwiał; przeszła

chwilka. Na placu pozostał sam... morderca bomba zmiotła wszystkich... u stóp tylko jego zatrzymał się kawałek niebieskiej sukienki.

Ryknął, jak lew rozwścieczony, spojrzął na wzniesienie; baron jeszcze klęczał, ale orzeł złoty chylił się już ku ziemi.

To było ostatnie drgnięcie walczących

Jakiś knecht pruski siłił się wyrwać z rąk jego to drzewce z tym ptakiem, a on go jeszcze do piersi przyciskał. Chwilka jeszcze, a ten znak upadnie.

Dwóch już tylko zostało walczących.

Jak pantera, jednym skokiem rzucił się Frycek, silnym uderzeniem pięści zwałił z nóg tego, który chciał z rąk stygnących barona sztandar wyciągnąć. Wokoło niego było już pusto; baron leżał na ziemi, przyciskając do piersi resztę chorągwi.

Frycek się obejrzał, ujął w swe dłonie ten povalony na ziemi znak Francji i szepnął:

— Jakże nikczemnym jest świat i ludzie...

W tej chwili zbliżył się drugi oddział i po sześciogodzinnej walce oczyścił już pole.

Przy oddziale tym, zgarbiony, szedł człowiek i rozglądał się na wszystkie strony: ujrzał Frycka, bo kroku przyspieszył i do pośpiechu zachęcał innych.

Ale i Frycek go spostrzegł, wyciągnął rękę naprzód, jakby chciał odepchnąć widmo jakiegoś, i z całej piersi zawołał:

— Przeklinam takie Niemcy, — niech żyje Francja!

I podniósł orła do góry.

W odpowiedzi na to niby skowronków stado przeleciało kul chmara, a Frycek ze sztandarem Francji upadł na ziemię.

Z rykiem nieludzkiem prawie, w ślad za temi kulami rzucił się stary Müller, przybiegł do ciała ciepłego jeszcze syna, patrzył na jego twarz spokojną, a bladą i nagle zaśmiał się chrapliwym głosem.

— A więc żyją Niemcy... żyją potężnie!... Frycku! tyś się upił z radości... obudź się... Wstań... tyś milionerem, ty życia używać teraz będziesz.

I porwał stary Müller na ręce ciało swego syna i okrywając pocałunkami twarz jego, uciekł z pola walki.

Zmrok zapadał, na pobojowisku zapalono ognie, które usiłowały rozproszyć ciemności nocy, ale... nocy tylko.

Koniec.

LISTY J. I. KRASZEWSKIEGO Z MAGDEBURGA.

XVII.

Mam przed sobą książkę, która zdaje sprawę z egzystencji nowego zupełnie rodzaju, i stanowi oryginalną już produkcją XIX w. Powtarzamy bardzo często za Rzymianami: „Nic nowego pod słońcem“; a jednak co stare odmładza się i przybiera właściwą sobie fizioznomią. Książka nosi pouczający tytuł: *Souvenirs d'un reporter par Pierre Giffard, redacteur au „Figaro“*. (Paris. Dreyfouss. 1885, 16-o 336 pp.) a na przykładkę jeszcze: *Le sieur va partout* (Imię Pan Wszędobylski). Wiemy, że już Rzymianie mieli swoje *acta diurna*, które pełniły u nich funkcją naszych dzienników; ale rzemiosło, a jeśli chcecie, zawód reportera nie był im znany. Klienci bogatych patrycjuszów, niemający czem czasu zapełnić, przynosili na desker do obiadu plotecki miejskie. Reporterów stworzyli prawie jednocześnie Jonathan w Ameryce i John Bull w Anglii. Reporter zabierający się prędko do rzeczy, niezbędnym był w krajach, gdzie życie leje się przez brzegi, gdzie czas jest drogi, gdzie każdy pragnie czemprędzej przeżyć to, co mu przeznaczono. Kiedy niedawno pojawił się w Oxfordzie nowy przekład

Biblii, Amerykanie kazali go sobie w całości przesłać telegrafem, aby go jaknajprędzej u siebie wydrukować. Trudne do uwierzenia, a jednak prawdziwe. Reporter, posłany umyślnie na miejsce i telegrafujący na gorąco — jest już wytworem czysto amerykańskim. Przesadzono go w grunt angielski; ale na kontynencie w jednym tylko Paryżu wielkie dzienniki utrzymują prawdziwych reporterów na swym żołdzie. Pomniejsze organa rozgłosu publicznego, nie rozporządzające summami potrzebnymi na takich „expressów“, zadawalniamy się zbieraniem nowin już przestarzałych. To gorączkowe ubieganie się Amerykanów i Anglików o świeże wiadomości licuje dobrze z ich *Time is money*; ale, jak powiedziałem, objawu tego nigdzie indziej nie widać. My Europejczycy, ludzie przeżyci i niczem szczerze zając się niezdolni, nie przywiązujemy tak wielkiej wagi do tego, żeby dziś już zrana wiedzieć to, co niewiele interessować nas będzie jutro wieczorem. Trzeba być młodym, rwać się do wszystkiego, umieć każdą rzecz spożytkować, ażeby czuć potrzebę zdobywania nowości tak wielkim kosztem. Tylko te kraje, gdzie co żyje, to czyta, a wszyscy uczestniczą w życiu ogólnem, mogą się posługiwać reporterami, których obowiązkiem jest iść na miejsce wypadku, a często i życie swe na niebezpieczeństwo narazić — dla zaspokojenia ciekawości czytelników. Ale zamalo jest powiedzieć: „ciekawość“. Czytelnicy angielscy i amerykańscy umieją natychmiast wyciągnąć korzyść z każdej wydrukowanej wskazówki. Giełda spekuluje na każdy objaw w zakresie powszechniejszych stosunków, na najmniejszą drganie jakiejś osoby na świeczniku stojącej; wyciąga się tu wnioski ze wszystkiego i z każdego ruchu korzysta. Później już jakgdybyś znalazł: gdy się raz nawyknie do otrzymywania tak szybkich wiadomości, wymaga się od swego dziennika, aby miał osobnych reporterów, tak dla literatury i sztuki, jak i dla polityki.

Kiedy się pomyśli o tem oszczędzaniu czasu przez Amerykanów i Anglików, kiedy się porówna tę ich oględność z naszą rozrzutnością i naszym niedbalstwem, trzeba prawdziwie boleć nad własnym swoim stanem. Bajeczne bogactwa Jonathanów i John-Bullów są owocem tych oszczędności, jakie robią na *czasie*. My *zabijamy* czas; oni korzystają z najmniejszej jego odrobiny.

Reporter jest koniecznym kółkiem w tej wielkiej machinie życia nowoczesnego, która pędzi, jak błyskawiczny pociąg. Czy ludzkość zyska co na tym przyspieszonym ruchu, czy też w przyszłości na nim straci? Trudno tu być prorokiem: tymczasem niepodobna zaprzeczyć, że pośpiech jest jej charakterystycznym zamieniem. Ale powróćmy dop. Giffard'a, „redaktora w Figarze“, jak się sam nazwał. Na tem małym w opiera się różnica ogromna. Co innego być redaktorem *Figara*, a co innego redaktorem w *Figarze*; ale w obu wypadkach można pisać i wydawać książki. Ta, którą wydał p. Giffard, składa się z najrozmaitszych artykułów, jeden od sasa drugi od lasa. Ma to dawać wyobrażenie o samem życiu, jakie pędzić musi prawdziwy reporter paryzki. Widzimy go tedy latającego ciągle od jednego dworca kolei żelaznej do drugiego — z Chantilly, gdzie się odbywają wyścigi, do St. Lazare, gdzie się mieści szpital, z Wiednia do Burgundji, z Maçon znowu do Strassbourga, z Gór Jurajskich do Moskwy. Zpomędzy wiadomości w ten sposób zbieranych jedne już mają smak starego masła, inne trzymają się jeszcze dość świeżo.

P. Giffard w appendixie przy końcu tomu chroni nas od kapitalnego błędu, jakibyśmy popełnili, biorąc jego, redaktora w *Figarze*, za jakiegoś tam małego reporterzynie. Nawet podejrzenia takiego p. Giffard nie ścierpi. Są bowiem reporterzy wielcy i reporterzy mali. Otóż ten mały reporter pędzi żywot prawdziwie nędzny. Posłuchajmy tylko. Mały reporter biega za zbrodnią i większą kradzieżą. Często po całych dniach błąkać się musi wskutek niedokładnej wskazówki, jaką otrzymał, i do redakcji przybywa zziębnięty jak pies. Bywają chwile, w których mały reporter coś nowego zwęszy, wpadnie na trop nieznanego, uderzy nosem o jakąś nową zupełnie sprawę. W takim szczęśliwym zdarzeniu obiega w te pędy kommissa-

rzy policyjnych, dystrybutorów tytoniu, szwajcarów, morderców i zamordowanych; jest wszędzie, gdzie tylko może choć żdbło jedno uszczknąć. Wieczorem tryumfujący, z aktami sprawy pod pachą, wpada do biura swego dziennika, a kiedy je rozpromieniony chwałą opuszcza, ma już swoje *sto wierszy*. Te „sto wierszy“ jest właśnie marzeniem małego reporterza: daje mu to 20 do 30 franków!

A u nas? Nie wiem co zarabiają wielcy, a co mali reporterowie, ale to poświadczyć mogę, że zdawszy sprawę z jakiejś książki w miesiącu Styczniu, w Lipcu w innym znowu dzienniku znajduję dopiero wzmiankę, że książka ukazała się w handlu księgarskim. W opieszałości naszych korespondentów literackich, w obojętności redaktorów prawdziwie trudno uwierzyć. Ale, prawda, czytelnikom tak mało zależy na wiadomości, iż jakieś ważniejsze dzieło wyszło z druku, boć przecież nigdy nawet widzieć go nie będą! Stan nasz jest bardzo smutny. Niemcy nie mają o wiele lepszej i szybszej obsługi, a jednak jakże daleko w tyle za nimi zostajemy!

Wróćmy do reporterów. P. Giffard oskarża Amerykanów o przesadę. Zarzuca im brak poczucia artystycznego i twierdzi, że reporterowie są — przynajmniej starają się być — „pisarzami, artystami i krytykami.“

To trochę zawiele; są jednakże pomiędzy nimi ludzie, którym niepodobna zaprzeczyć jedności, zamaszystości, dowcipu. Temi danymi zastępują sobie to, czego im braknie w wiedzy i w pojęciach. Francuzi kiedy mówią o narodach obcych, zazwyczaj wygrywają tylko waryacje na temata zużyte i przestarzałe. Wiemy coś o tem i my z własnego doświadczenia. Pod tym względem potrzeba znowu oddać sprawiedliwość naszym dziennikarzom, iż lepiej znają Francją lub Niemcy, o których piszą — niż *vice versa*. Jeden z reporterów, interpellowany na tym punkcie, odpowiedział mi, wzruszając ramionami: — A co nas obchodzą te narodowości, *niezdolne do kultury* (kulturufähig), przeznaczone na zagładę i będące tylko słabymi imitacjami ogromów prawdziwie już pracujących dla cywilizacji! Powiększej części traktują nas z tą pogardą pychy dowodzącą tylko, że każdą ciemnotę można wyrozumieć i wytłómaczyć. *Guarda e passa*.

Wśród artykułów naszego JMśc Pana Wszędobylskiego dwa uderzyły nas szczególnie: jeden o Alzacyi, drugi o sposobie życia, o zwyczajach i obyczajach prezydenta rzeczypospolitej i jego rodziny.

Przywykliśmy na podstawie rozlicznych faktów uprzednich, ilekroć toczy się sprawa Niemiec we Francji lub Francji w Niemczech, spotykać ton pogardliwy, sarkastyczny i wyzyskiwanie stron słabych; rzadko kiedy spotkać się można z sądem sprawiedliwym. Otóż właśnie p. Giffard stanowi szczęśliwy wyjątek. Z wielu względów przynajmniej Niemcom wyższość nad Francuzami. Weźmy np., co mówi z powodu koncertu w Metz, na którym znajdowało się wielu wojskowych: „Przypatrzyłem się tym ludziom. Wszystko dyable miny. Wchołzili do sali po dwóch, po trzech, w skromnych mundurach, z prostemi hełmami w rękach w postawie nakazującej poszanowanie. Byli przywoici, bez niezdarność. Na każdym dostrzegłeś to, co by nazwać można piętnem wyższości. Wtedy dopiero smutek zaczął mnie opanowywać. Ogarnąłem wzrokiem całe to mrowisko officerów, — dr. gonów, ułanów, artylerzystów. Przechadzali się tam i napowróć, jakby po promenadzie, mieli miny dyplomatów, z prawdziwą elegancją odbierali ukłony od równych sobie, i zaraz je wyważajmniej, z doskonałym wreszcie wdziękiem salutowali przed wyższymi, jak: major, pułkownik, generał. Rozmowę prowadzili spokojnie, łagodnie, bez nadętości. Jednym słowem: wzięci w całości, błyszczeli wszystkimi przymiotami *negatywnymi*, jeżeli wolno użyć tego wyrazu. Zalecała ich wszystkich prostota, skromność w zachowaniu się zewnętrznym i postawa dyskretna. Przypomniałem sobie wojnę i pomyślałem w duchu: To dopiero silni ludzie! Gdybyśmy to tak mogli odwzorować się na nich!“

Zwierzanie podobne, wychodzące od Francuza, ma znaczenie ogromne. Wciągamy je tutaj na regestr, niema bowiem lepszej wróżby na przy-

szłość nad taką skromnością a sprawiedliwość, odana tym, których się zalicza do rzędu swych nieprzyjaciół i obchodzi z nimi, jak z nieprzyjaciółmi. W końcu swego sprawozdania redaktor *au Figaro* pisze: „Iluż się znajdzie Francuzów, którzyby choć powierzchownie znali tych ludzi marsowych! Ale kto żyje, każdy o nich rozprawia. Pracują oni cierpliwie nad dziełem strasliwym. Cóż my wiemy o nich? Bardzo mało—i jest to dla nas nieszczęście.“

Pan prezydent rzeczypospolitej, Juliusz Grévy, pomimo wybitnego stanowiska, jakie zajmuje, jest jedną z osobistości mniej znanych, nawet we Francji. Skromność i prostota panująca u niego w życiu domowym; staranność, z jaką unika wzroku gawiedzi i ciekawości ludzi niemających co robić; wreszcie jego temperament i charakter—pozwołyły mu dotychczas pozostać prawie nieznanym we Francji samej: a cóż dopiero za jej granicami!

P. Giffard ukazuje go nam podczas pobytu letniego w Mont-Sous-Vaudrey, otoczonego swą rodziną i swymi współobywatelami z gminy, chroniącego się przed gośćmi i przed ciekawymi, zatarasowanego w starym dziedzińcu hermetycznie zamkniętem przed ciekawością ludzką. Czy wyobrażacie sobie prezydenta wielkiej rzeczypospolitej w bluzie i w sabotach? Prawdziwy Cincinnatus. Niemniej oryginalną jest córka pana Grévego, panna Alicya.

„Jest to kobieta—oryginał“—mówią sobie o niej w Mont-Sous-Vaudrey. Nawyknięcie swe, trochę mężkie, panna Alicya zawdzięcza fantazji swego ojca, podówczas jeszcze zwyczajnego adwokata, który pragnął gorąco mieć syna, a kiedy na świat przyszła córka, pozwał jej długi czas, bo aż do 25 roku życia, chodzić w ubraniu mężczyzną. „Z przyzwyczajenia tego wynika—tłómaczy nam reporter—wielka swoboda w obejściu się zewnętrznym, swoboda prawdziwie na sposób amerykański: prosta, racjonalna, i mojem zdaniem, zachwycająca.“

Jest to jedyna osoba z całej rodziny, która daje się widzieć i wychodzi na wieś. „Sama jedna, ubrana niekiedy powiewnie, w ogromnych sabotach i w kapeluszu słomianym, zerwanym z głowy ogrodni kowi, z włosami rozpuszczonymi, panna Grévy wychodzi na drogę, zawsze uśmiechniona i odpowiadająca wesoło na każde powitanie wieśniacze. Nie należy to do rzadkości, iż panna Alicya na jesieni jedzie do wód w Salins, położonem o kilka tylko mil od Mont-Sous-Vaudrey. Do stacji kolei żelaznej odwożą ją powozem; tam wsiada na pociąg. Sama jedna, odbywa swą kuracyę i powraca z książką w ręku lub z albumem na kolanach.“

Jeszcze o tej zajmującej córce prezydenta rzeczypospolitej:

„Jeżeli się czasem zdarzy, a zdarza się to bardzo rzadko, że p. Grévy przyjmie jaki obiad na wsi, córka jego w rozmowach przy stole rozwija z porównaniem i niezłomnym zapalem swoje teorie o wolności indywidualnej, o śmiesznych konwencyonalizmach towarzyskich, o potrzebie przyzwoitej bezceremonialności, i wreszcie wysławia dobrobyt, a powiedzmy lepiej, wszystkie dogodności życia nowoczesnego.“

Ulubionemi zajęciami panny Alicyi są: malarstwo i haftowanie.

Sam p. Grévy siedzi w swym domu, jakby zamurowany; nie przyjmuje nikogo, z wyjątkiem jednej tylko rodziny Dreyfousów. Przed laty stał przed kratkami sądowymi w jakiejś ich sprawie. Widzimy, że gdy kiedyś będzie potrzeba opuścić prezydenturę i usunąć się z widowni, p. Grévy nic na tem osobiście nie straci, jeżeli tylko zdoła zaokrąglić swą własność, aby siedzieć już cicho i spokojnie, tak, jak to lubi. Z zamiłowaniem oddaje się polowaniu i bilardowi.

Opisawszy p. Grévego, reporter daje nam kilka kartek o Gambecie i jego letnich czasach w Szwajcaryi; ale sławny mówca, publicysta, agitator jest już nadto znanym, abyśmy potrzebowali ukazywać go raz jeszcze tutaj, i to w postaci bardzo mało zajmującej: graża kregłowego w Clarens u p. Arnaud de l'Ariège.

Wszystkie te wycieczki—a wybraliśmy tu tyl-

ko najbardziej zajmujące—dają nam wyobrażenie o nadzwyczaj czynnym życiu reportera paryzkiego. Zdarza się nieraz, że w chwili przybycia do Paryża taki wszystkowiedz zastaje już depeszę od swego dziennika, nakazującą mu przerzucić się ze Wschodu na Zachód, z Północy na Południe. Wrażenia z tych błyskawicznych podróży spisują się na prędcie, w jakimś biurze telegraficznym, w wagonie albo na stole w jakiej oberży. „Przyzwyczałem się—opowiada nam autor—pracować w wagonie. Jest to najulubieńszy mój gabinet do pracy. Średnio podróż moja pociągami pospiesznym trwa do 5 godzin. Wsunęty w głąb mego przedziału w I klasie, częstokroć sam jeden, prawie zawsze w postawie chylącej się już do sennego spoczynku, przypatruję się światłu lampy, jeżeli jeszcze ciemność nocy nie pierzchnęła, albo krajobrazowi, jeśli już dzień zaświtał. Tak patrząc, snuję projekta artykułów, marzę o pocziwcach, których mi już bliska przyszłość przed oczyma postawi. Ten wagon pozwolił mi już znaleźć wiele rzeczy podczas owych pięciu godzin marzeń prawie nieprzerwanych.“

Ale otóż i jesteśmy z powrotem. Chciałoby się wiedzieć, co też zarabia taki reporter nazwany „wielkim“; p. Giffard jednak nie rad się nam zwierzyć. *Maximum* zarobku reportera małego nie przynosi siedmiu tysięcy franków na rok.

Możnaby jeszcze niejedno uszczknąć z tej książki. Ze stosunków paryzkich np. mało znane jest schronienie dla sierot, koncerty ociemniałych sprzedaje miłosierne, towarzystwa wstrzeźliwości: a o wszystkim tem pisze właśnie ów p. Giffard.

Warto także przeczytać *Odwiedziny w Lourdes* na poświęcenie kościoła. Zwiedzaliśmy i my kiedyś tę miejscowość i słynną w niej grootę; ale było to w dzień powszedni: zastaliśmy więc na nabożeństwie samych tylko pielgrzymów. Reporter maluje nam wielce prawdziwy obraz tej pięknej miejscowości, a w niej miejsca cudów, obraz ludzi, którzy je zwiedzają—ożywionego ruchu i tego niezwykłego życia, jakie cuda wywołały w tym ustronnym zakątku Pyreneów. Na innych znowu kartach prowadzi nas reporter do Awinionu na święta Petrarki i zaznajamia nas z felibrami. Zdaje się, że Petrarkę wzięto tam tylko za pozor; rzeczywiście zaś toczyła się walka pomiędzy poetami francuskimi a felibrami czyli poetami śpiewającymi w języku prowansalskim.

P. Giffard, któremu zapowiadano w Prowancyi naturę wspaniałą, drzewa stuletnie, na każdym kroku technienie bujnego życia, Rodan przejmujący strachem—znalazł w niej tylko skały i skały bez końca, wiecznie żółte, jednostajne, widokiem swoim przytłaczające, znalazł krzaki karłowate, obrzydliwą suszę, Rodan żółtawy, oziężały, zaledwie ruszający się pod sławnym mostem awiniońskim,—a wszystko inne wogóle dostrojone do tego krajobrazu. Możnaby to niekorzystne wrażenie wytłómaczyć przywiązaniem wielkim autora do Normandii, która jest jego ziemią rodzinną.

To też podróż z Paryża do Rouen, Sekwaną, odbywa p. Giffard z większą przyjemnością i w lepszym humorze. Żeglowano po rzece dla zdjęcia z niej pomiarów głębokości. Chciano się przekonać, czyby nie można uczynić Sekwany splawną dla wielkich parostatków, aby przez to zamienić Paryż w port morski. Umyślna komisya wsiadła tedy na statek. I jakże-by na nim zbraknąć mogło reportera; któżby doniósł o ujemnym wyniku badań? Sekwana—jak się zdaje—jest zanadto płytka, a pogłębienie jej kosztowałoby zawiele, aby się opłacić mogło.

JULIUSZ BASTIEN-LEPAGE.

W Damvillers, zacisznej wiosce departamentu Meuse, na prostym, zwyczajnym domu włościańskim, została świeżo umieszczona pamiątkowa płyta z marmuru, ogłaszająca, że 1 Listopada

1848 r., urodził się tutaj Juliusz Bastien-Lepage, znakomity malarz, który dziś zajmuje miejsce w Panteonie sławnych ludzi swojego narodu. Aktowi tego pośmiertnego hołdu towarzyszył świetny orszak znakomitości przybyłych z Paryża, artystów i literatów, którzy przeciw otaczali wyrazem wysokiej sympatyj, wysokiego uszanowania, kobietę cicho płaczącą, włościankę z Damvillers, bo była to matka zmarłego mistrza, któremu cześć składano: dobra, tkliwa matka, na której rękach sławny jej syn zamknął oczy, i z którą—co jest stokroć ważniejszą rzeczą—ani sztuka, ani sława, i idące za nią wyniesienie, nie rozdzieliły go nigdy.

Dawna cyganerya artystyczna i literacka nie istnieje już we Francji; sztukmistrze i poeci, pisarze, żyją dziś poważnie i spokojnie, nie sądząc, aby bezład życia pomagał naturom tworczym do osiągnięcia w stopniu wyższym tego ładu, który, rozpięchłe w świecie pierwiastki piękna harmonijnie skupiając, wytwarza dzieło szlachetnego artysty. Niemniej życie Juliusza Bastien przedstawia rzadko widywany przykład nieoderwania się od rodziny, która niewątpliwie przerastała, nie tylko stanowiskiem społecznym, ale i nastrojem ducha. Jak ów łabędź Słowackiego, który „na piersiach skrwawione ma pierze“, wracał on zawsze z zapasów świata do wioski swojej, pod dach rodzinny, gdzie leczył się i odświeżał sercem; gdzie proste, swojskie piękno broniło go od wykrzywienia artystycznej jego drogi. Andrzej Theuriet, który zna rodzinną wieś zmarłego, kreśli bardzo skromny jej obraz. „Fizjonomia tej dużej wsi jest spokojna i czysto sielska, ludność wyłącznie rolnicza; sady otaczają koroną zieloności domy, rozrzucone w dolinie, gdzie strumień rzeczki Tinte płynie wężykowato wskrósza łąk i zarośli. Naprawo wyniosłość zasadzona winogradem, na lewo wzgórze o łagodnych spadkach, lasem zarosłe, zamykają wieś kręgiem niezbyt rozległego koła. Widnokrąg to ograniczony, jednostajność łąk i pól ledwo gdzieś przecina szereg sztywnych topoli.“ Ale Theuriet zapomina przy tej ogólnej charakterystyce rodzinnych stron artysty ważnego rysu, który pobieżnie wymienił. Wieś Damvillers otaczają stare fortyfikacje, odwieczne wały, na których właśnie rosą owe sady, stanowiące dla domów wsi „koronę zieloności.“ Była tu niegdyś zacięta bitwa; Francuzi walczyli z Karolem V, który oblegał ich w oszańcowanej wiosce i choć ślady tych starych okopów nie podnoszą malowniczości krajobrazu, i ztąd mogły nie uderzać estetycznego zmysłu rosnącego tu dziecka, kto nam powie, jak szczegół ten wśród owego krajobrazu oddziaływał na inne strony jego ducha, na uczucie, na wyobraźnię—jak, wzruszając je, rozwijał, i dawał im skierowanie, które potem sprawiło, że Juliusz Bastien stał się głośnym malarzem przez obraz *Dziewicy Orleańskiej*?

Może też sprawiły i to wały owe stare, że artysta był w 1870 r., franc-tireur'em i choć niezaraz na polu bitwy, umarł niemniej od niemieckiego granata, którego odłam oderzył go pod Paryżem w pierś bryłą porwanej za sobą, w kamień przez mroź zamienionej ziemi. Podniesiono omdlałego, miesiąc leżał w szpitalu, krwią plujący, a choć po tym czasie dzwignął się na nogi, już jakoś zasada życia została nadwreżoną i śmierć przyszła zgasić młode, właśnie do sławy i szczęścia otwierające się istnienie.

Wypadkiem szczególnym, tegosamego dnia, gdy ugodzonym został, do pracowni jego w Paryżu wpadła kula niemiecka i przedziurawiła pierwszą jego kompozycyę: nimfę, która moczy nogi w strumieniu.

Gdy podniósł się ze szpitalnego łóżka, powłókł się, jak gołąb z bajki, do rodzinnego domu, ale przynajmniej nie skrzydła jego lotu były strzaśkane i zdawało się, że powietrze rodzinne, tkliwość matki, ojca, dziadka starego, przywróci młodzieńcowi siły życia. Ojciec, artysty był rolnikiem; kiedy utrzymanie Juliusza w Paryżu kosztować zaczęło więcej, niż włościanin, jakkolwiek na swój stan zamożny, mógł synowi dawać, matka szła dzielnie pracować w pole na zagon, aby grosz niewydany na najemnika dołożyć było można do tego, co przesyłano oddalonymu. Od

samego początku kształcenie Juliusza było dla rodziców jego ofiarą, do której przykładał się w części jakiejś dziadek, ojciec ojca, sprawujący swojego czasu jakiś mały urząd skarbowy w wydziale poboru dochodów niestałych. Urząd to był sprawowany na wsi, urząd nieodbierający też charakteru wieśniaczego; przynosił on potem staremu małą emeryturę, którą oddawał dzieciom za utrzymanie, zachowując sobie na własność niewiele, aż nauka wnuka przyszła zażądać od niego i tej reszty. Folwark był posagiem żony, mąż uprawiał go wzorowo, skrapiając grunt potem własnego czoła, dziecko Bóg dał jedno, kochane niewymownie przez wszystko troje tych uczciwych pracowitych, zgodnie ze sobą żyjących ludzi; gdy oto w piątym roku chłopak zaczął rysować węglem po ścianach domu, w czym dziadek upatrzył szczęśliwą zdolność—do stanu urzędniczego!

Mogło mu się to zdać gdyby wszedł do administracji dróg i mostów, o czym też stary począł natrącać synowi. Zrobić z malca urzędnika, tak jak nim był jego dziadek, stało się skrytem marzeniem obydwoh, jakkolwiek matka słysząc o tem cicho wzdychała. Była wieśniaczką z krwi i ducha, miłość natury, nieumiejąca wydać się w słowach, tkwiła w niej głęboko i syn, podobny do niej nie tylko twarzą, odziedziczył to usposobienie, tak jak i poetyczność z niem złączoną. Wolałaby była wiedzieć go rolnikiem, orzącym zagon, ale na radzie wyższej instancji—na radzie męskiej ojca z dziadkiem, zostało postanowieniem, że malec miał w jedenastym roku, to jest po skończeniu elementarnej szkółki wiejskiej, zostać oddanym do Verdun, do kolegium. Ofiara ze względu na koszt była wielka, ale to nic—ojciec i dziadek postanowili, że będzie z niego urzędnik.

Więc i objawiającą się zdolność rysunkową, wzięto w pewnego rodzaju karność; wieczorami zimowemi, siedząc przy jednym stole z rodzicami chłopiec musiał rysować z natury; dziadek z ojcem zadawali mu te lekcje: lampa, moździerz, kałamarz: to było wzory, które musiał kopiować z bardzo wielką ścisłością przy zachowywaniu rozmiaru i formy. Ojciec bawił się w wyrzynanie z drzewa i wykonywał to z niepospolitą zręcznością, a nawet ozdobnością w ornamentach, do których wzorów szukał wkóło siebie. Liść, gałąź wychodziły spod jego nożyka czasem bardzo wdzięcznie, ale i bardzo wiernie, czego też wymagał od syna, nieraz surowo. Malec nie mógł iść spać, póki nie odrobił należycie tego, co mu zadano; matka przysuwała mu, oile mogła, światło, a ojciec i dziadek przeglądali potem rysunek. Była to wyborna edukacja artystyczna, choć prowadzona bezwiednie: wprawa ręki i oka, która miała się potem przydać—nie urzędnikowi..

Ze Juliusz, podrastając, okazywał zamiłowanie natury, chętniej kopiował kwiat, drzewo, porywał się na coś, jak intencje krajobrazów, dziadek uważał, że może mógłby wejść równie dobrze do administracji zarządu lasów.

Tymczasem urodził mu się brat wierny potem, gorąco kochający towarzyszy i przyjacieli; ale nie mniej każde nowoprzybywające dziecko obciąża zawsze budżet rodziny, z którego jeżeli nie zaraz, to niedługo trzeba będzie coś nań łożyć. Jednak nie cofnięto postanowienia i mały Juliusz po skończeniu lat jedenastu został odwieziony do Verdun do kolegium, gdzie był świetnym uczniem, celując przeciw szczególnie w rysunkach, i tu już zaczęto przepowiadać mu wielki talent. Gdy na wakacje wracał do domu, zamiłowanie rysunku zaczęło się w nim objawiać, namiętnie. Jeżeli nie rysował, to wrywał się z domu i biegł po polach, po łąkach, po lasach. Doznawał pragnienia coraz nowych widoków, nie pojmując jeszcze, co to jest? Obrazy widziane brał w głąb pamięci, w głąb wyobraźni swojej na polu bezwiednie; jedne odtwarzał, drugie nosił w sobie, nie czując, że to jest zapas składany dla przyszłości. Ponieważ brata kochał niezmiernie, rysował go bez końca w pozach najrozmaitszych. Został się przechowany przez matkę obrazek z tamtych czasów, w których trzyletni chłopaczek figurował w Ofierze Abrahama.

Była to już kompozycja artystyczna, na tle poetycznie oddanego krajobrazu. Czy mistrz przyszły byłby się stał tem, czem był, gdyby iskra

jego artyzmu nie wykołysała poezja natury i uczciwa, spokojna prostota wiejskich obyczajów? Miłość Francji już też była w nim silna. W Verdun żyje dotąd wspomnienie owych trzech panien, które sypały kwiaty pod nogi wchodzących do miasta Prussaków, aby zginąć potem pod kosą gilotyny i Juliusz, mając rok czternasty, uniósł się tak namiętnie na Wiktora Hugo za opiewanie ich w młodości swojej, że nigdy już nie mógł zwalczyć pewnego wstępu do niego i jego poezji. Odmawiał im tego tytułu i nazywał retoryką. Juliusz Barbier był jego ulubionym, ukochanym poetą i umiał mnóstwo jego poezji na pamięć. Był też wielkim naszym przyjacielem.

Niemniej nie studia literackie pociągały go ku sobie, lecz przeciwnie, zaczął w ostatnich klasach kolegium oddawać się z zapalem matematyce i był czas, w którym gotował się do zdania egzaminu do wojskowej szkoły w Saint Cyr, ale była to tylko jedna faza w przejawieniu się jego gorących uczuć miłości dla Francji i jej misji, złączonej jeszcze po wsiach z Legendą Napoleońską. Kraj przeczuwał poniekąd wojnę z Niemcami; po dwóch przebytych, ta trzecia powinna była nastąpić i ukoronować dzieło, niedokończone jeszcze, wielkim tryumfem sprawiedliwości i prawa nad siłą.

Nagle w kierunku zamiarów młodzieńca objawiła się niespodziewana dla rodziców zmiana. Skończywszy klasę filozofii, Juliusz wypowiedział im gorące pragnienie udania się do Paryża dla nauki malarstwa. Teraz umiał on patrzeć w siebie, teraz trafił na powołanie swoje i czuł, że tak jest.

Ale ojciec wzruszył ramionami. Urząd dawał utrzymanie stałe i pewne, był zawodem zaszczytnym, gdy tymczasem malarstwo.. W jego oczach malarstwo nie było zajęciem życia poważnem nie było zapewnieniem przyszłości. Matka ze swojej strony drżała na myśl o Paryżu i niebezpieczeństwach, zaczajonych tam na drodze jej dziecka, które mogły wykołować, odgradzić od szczęścia i cnoty! Wszystko, co ludzie opowiadają sobie po wioskach o piekle parzyckiego życia, stało jej przed oczyma, przecież ona pierwsza wyrzekła:—A jednak, jeżeli on widzi w tem szczęście?.. W wigilię tego dnia syn siedział z matką w ogrodzie długo, długo, i wylewał przed nią swoje nadzieje i marzenia, objawienie przebudzonej już w nim stanowczo i o prawo do życia dobijającej się siły twórczej. Nie rozumiała go zapewne ale kochała; serce matki podniosło się też do wielkiej ofiary i zachwiał się surowy sąd ojca. Tak... jeżeli w tem jest szczęście ich syna?... Lecz utrzymanie go, ciężkie już w Verdun, stawało się w Paryżu cięższem jeszcze, zaciężkiem na ich zamożność, i wszystkie twarze stały się posepnie smutnymi. Na szczęście, znajomy rodzinie Bastien poczmistrz podsunął myśl, aby młodzieniec podał się na kandydata do urzędu pocztowego, zdał wymagany egzamin i przyjął jakiegokolwiek miejsce w parzyckim biurze pocztowym, coby mu pozwalało przy zapewnionem utrzymaniu uczyć się jako wolny słuchacz do Szkoły Sztuk Pięknych.

Była to rzecz ciężka, trudna—możliwa jednak i tak się też stało. Ów znajomy pomógł swemi stosunkami, Juliusz otrzymał jakąś małą posadkę w Parzyckim zarządzie poczt, poświęcając wszystek czas wolny od zajęć biurowych studjom artystycznym, ale to coś, co miało z czasem uczynić go wielkim sztukmistrzem, nie pozwalało mu długo na to połowiczne istnienie, i po sześciu miesiącach pracy bez wypoczynku i bolesnego targania się w sobie, podał się naraz do dymisji i przyjęty do Szkoły Sztuk z numerem 1-ym to jest ze szczególnem odznaczeniem przy składowanych egzaminach wstępnych, wszedł następnie do pracowni malarza Cabanel.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Panna O... z Hrubieszewskiego nadesłała za pośrednictwem się *Biesiady*, jakoprzyczynek do układającego się obecnie polskiego słownika botanicznego, zielnik z kilkudziesięciu okazami roślin i kwiatów polnych, oraz z ogrodów włoczańskich—wszystko bardzo starannie i umiejętnie zasuszone, bardzo wdzięcznie opisane; przy każdej roślinie jej nazwa ludowa, własności, i legenda do niej przywiązana. Kronikarz *Biesiady* dziękując za ten dar, szacowny dla naszego językoznaństwa botanicznego, stawia go jako wzór do naśladowania dla mieszkańek wsi, którym radzi: „schylić się ku ziemi rodzinnej“, aby znaleźć u jej łona pracę, która nudów nie dopuszcza, a zasługę obywatelską skarbić sobie pozwala, wraz z zadawalniającem serce i sumienie uczuciem niemarnowanego życia niemarnowanej młodości..

— P. P. Frankowska, Przędziecka i Zaleska, przesłały katolickiemu kościołowi w Póltawie aparatów w wartości 555 rs.

— Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, chcąc przy nadchodzącej zimie skutecznie zaradzić potrzebom ubogiej ludności miasta, ściślej zorganizowało działalność pań, będących członkami Towarzystwa. W tym celu panie te podzieliły się na cztery komitety, z których każdy wybrał sobie swój własny zarząd, jak to ma miejsce w komitetach męzkich. Komitetom kobiecym zostało powierzone zajęcie się: ochronami miejskimi; dziećmi osieroconymi i urządzeniem dla nich ochrony; obmyśleniem na to funduszu; opieką nad choremi kobietami w wypadkach szczególnych, wreszcie zajęcie się podarunkami, które Towarzystwo udziela biednym na Gwiazdkę. Panie wchodzące w skład komitetów przybierają charakter czynnych członków towarzystwa, zarządy składają też prezesowi sprawozdanie z referatów każdego posiedzenia i działalności komitetów.

— Miasto Kalisz, pragnąc zaprowadzić u siebie Taniej Kuchnie, któreby w znacznej części mogły zastąpić obiady bezpłatne, rozdawane w roku zeszłym, krzepi się na duchu wiarą w ofiarności swego ogółu. Z tego powodu pisze organ miejscowy *Kaliszanin*. „Gotowość do współdziałania w pracy pań naszych i zacnych Sióstr Miłosierdzia napełnia nas otuchą, że słowo stanie się ciałem.“ Ustawa Taniej Kuchni Piotrkowskiej, służąca za wzór Kaliszowi, mieści takie określenie działalności kobiecej w tem dziele dobroczynnem: „Dla ułatwienia komitetowi wypełniania rozlicznych jego obowiązków wybiera się z pomiędzy kobiet, które dały dowody szczerego zainteresowania się instytucją, tak zwane *Dyżurne*. *Dyżurne* czuwając nad ściśłem wykonywaniem poleceń komitetu, spełniają obowiązki swe kolejno, zmieniając się codziennie. Każdy dyżur ma się rozpoczynać wieczorem o oznaczonej godzinie dnia jednego i trwać do następnego wieczora. Dyżurna, porozumiewszy się wieczorem ze swoją poprzedniczką, co do stanu i bieżących w danej chwili potrzeb instytucji, dysponuje obiadem na dzień następny, nazajutrz bada ilość i jakoś przygotowywanych się potraw, porządek w kuchni i w pokojach stołowych. Będąc wciąż obecną przy wydawaniu obiada, zapisuje do książki, wieczorem zaś zdaje swe obowiązki następnej dyżurnej.

— Filantropijna działalność hr. Zamojskiej w Kórniku uzupełnia się przez założony i utrzymywany jej kosztem szpital, zostający pod bezpośrednim dozorem Sióstr Miłosierdzia. Przytem zaczęła ta pani otworzyła tamże dla potrzeb miejscowej ludności sklep wiejski, starannie zaopatrzone w rozmaity towar, po który włoczańcin nie potrzebuje udawać się do miasteczka, gdzie go drobni i często niesumienni handlarze wyzyskiwali. Łączyła się z tem wielka strata czasu, a nieraz zła zabałamucenie się w miasteczku. Wszystko to usunął sklep na miejscu gdzie znaj-

duje się wszystko w lepszym gatunku, po cenach przystępnych, z wagą, czy miarą zawsze uczciwą.

— W *Kraju*, w N. 38, w artykule pisanym z Poznańskiego: *Emigracya włościan naszych*, znajdując się odnośnie do kobiety spostrzeżenia bardzo ważnej natury.

Autor artykułu między innymi przyczynami wychodzący kobietę na pierwszy plan wysuwa. Żona nie bywa tu dość pracowita, i to obniża finansowe położenie poznańskiego włościanina, bo zarazem żona ta pożądana większego dobrobytu, namawia męża do porzucenia ziemi rodzinnej. popycha go do tego. — „Oile chłop wielkopolski jest pracowity, oile dziewczki są wybornymi robotnicami, o tyle idąc za mąż kobieta przeważnie oddaje się lenistwu.“ Jest to, jak sądzić trzeba, skutek wyrobionego w kobiecie pojęcia, że mąż powinien być głównym dostawcą środków utrzymania rodziny, głównie dla potrzeb tej rodziny znającym się robotnikiem. — Pojęcie to, nieistniejące dawniej u nas, czy znajdujemy tylko u włościanki poznańskiej? Czy skargi na stan taki, nie podnoszą się i w innych warstwach społecznych, gdzie nawet zmniejszenie się liczby małżeństw temu właśnie przypisują. że przy coraz cięższych warunkach utrzymania, żona coraz mniej na korzyść rodziny pracuje? Ale w sferach społecznie wyższych bywa to zwykle brane za fałszywe pojęcie pańskości, zgubnie u nas rozwielmożone; przecież biorąc na uwagę to, co pisze ów korespondent *Kraju*, trzebaby dojsć do innego wniosku, a to, że zakorzeniło się między ogółem kobiet naszych przekonanie, jakoby małżeństwo uwalniało je od trudów życia, którego cały ciężar powinien spadać na męża. „Mąż pracuje jak wół roboczy, a żona siedzi za piecem, izby nie uprzątnie, odzieży nie naprawi, obiadu, jak należy nie zgotuje“ — pisze autor artykułu, dodając: „gnusność niewieścia przyczynia się w znacznej części do ubóstwa ludu naszego...“ Czy przecież skarga na obniżanie się zasobów majątkowych w rodzinach, nie podnosi się u nas w całym kraju? Stopa utrzymania domu rodzinnego coraz jest wyższą, kobieta jest za mało czynną, za mało osobistego trudu w gospodarstwo domowe kładzie, wyręczając we wszystkich służbach, lub nabywając, co można, w przetworach już gotowych, drogo płatnych. Korespondent poznański pisze o tamtejszych wiesniaczkach, że obalamują je posłuchy, jakoby w Ameryce kobieta nic nie robiła, o zatrudnieniach domowych nie potrzebowała myśleć — i czy nie jest to także podobna przyczyna fenomenu, objawiającego się w klasach wyższych, między kobietami intelligentnymi?

Podniesienie umysłowego kształcenia kobiet, złączyło się szczególnie na Zachodzie Europy ze sfalszowaniem pojęć o pracy kobiecej. Przy przeludnieniu tamtych krajów, przy przewyższającej wszędzie liczbie kobiet, samotne, rodzin niemające, musiały dobijać się o utworzenie sobie zawodów nowych, niezależnych. Jak przy wszelkiej rzeczy, jeszcze nieurtartej, wywołującej walkę pojęć, rozpoczęło się dyskutowanie nad prawem kobiety do pracy, do samodzielności, i wśród namiętności podrażnionych i słowa były z obu stron namiętne, było mnóstwo deklamacji, które przeciągając po świecie, sprawiły ten zły skutek, że najpierw chwytala je cheiwie kobieta lekkomyślna, która w ten sposób chciała się uwolnić z uciśkających ją węzłów obowiązku, dalej kobieta gorącej wyobraźni, a mniejszej siły rozumowania, co razem sprawiło zamieszanie w pojęciach i jakoby zdekredytowanie dawnej pracy kobiet w rodzinie. Dziś następuje reakcja; dziś gdy względy ekonomiczne podnoszą się coraz w ważności swojej, tak dla narodów, jak dla rodzin, wartość domowej pracy kobiecej okazuje się bardzo wysoką, ale skutki owych przejściowych prądów nie usunęły się jeszcze. Praca kobiet w rodzinie jest niedostateczną, i to uboży prowincye, narody, w trudnych położeniach będące, a złe, tak, jak się to dzieje z pojęciami wszelkimi, przesiąka zwolna w społeczeństwo, zstępując z góry na dół i dla tego pewne zjawiska moralne powtarzają się wśród różnych warstw społeczeństwa.

— W korespondencji poznańskiej znajduje się wśród smutnych spostrzeżeń nad włościanką tam-

tejszą jeden rys pocieszający, a charakterystyczny: „Najoporniej wyjeżdżają kobiety mające starych rodziców“ — pisze korespondent, co znaczy, że owa zleniwiała wiesniaczka wielkopolska ma serce, ma uczucie, umie kochać i tu miłość ma nad nią moc węzłów silnych; a zatem jest możność ujęcia jej istoty moralnej przez coś, działającego dodatnio. „Miej serce i patrz w serce“ — nakazuje poeta. Niech-że więc kobieta ze dworu nauczy kobietę z chaty, aby umiała spojrzeć sobie w serce i przez uczucie tam złożone od Boga, dźwignęła się ze starych wad, a wyrosła do cnót nowych.

— We Fribourgu, na zjeździe religijnym, który odbył się we Wrześniu, a na którym znajdowali się delegaci wszystkich katolickich krajów Europy i Ameryki, oprócz spraw czysto religijnych, rozbierno pewne kwestye natury moralnej, między którymi wybitne miejsce zajął głos o zbytku w ubiorze kobiet, wnoszonym nawet w mury kościołów. Ks. Szczerbiec z Kołomyi, wygotował w tym przedmiocie referat pofrancuzku. Zbytek w stroju kobiety, to rozbić rodziny i podkopanie moralności publicznej — oto założenie, na którym rozwijały się dowodzące go argumenta.

— Londyński kongres nauczycielek wykazał pomiędzy niemi 84 Polek. Pięć z nich uczy języka polskiego.

— Szkolna Rada Czeska powzięła zamiar nigdzie jeszcze nie praktykowanego odznaczenia kobiety nauczycielki, stanowiąc, że wszystkie wyższe szkoły elementarne dziewcząt, będą od-tąd powierzone wyłącznie kobietom. Pierwszym skutkiem tego rozporządzenia czeskiej Rady Szkolnej — jest konkurs rozpisany na dwie posady nauczycielek i posadę dyrektorki dla wyższej szkoły dziewcząt w Sobiesławiu, gdzie aż dotąd wykładali jedynie mężczyźni. Musiał więc odbyć się między kobietami czeskiemi szczęśliwy postęp pod względem wykształcenia i ogólnego podniesienia się duchem, bo dotąd dotykał Czeszki zarzut ciężki, że przez zacisnienie umysłowe stając się małodusznymi nie są zdolne przejąć się gorącej ideą narodową, tak dziś drogą Czechom.

— Kobiety angielskie wyrobiły sobie bezsporne miejsce w zawodzie adwokackim. Dwie pełnoletnie panny: Richardson i Orme, złożonywszy z odznaczeniem wymagane w Anglii examina z nauk prawnych, otworzyły w Londynie kancelarye obrończe i praktykują z powodzeniem. Wiemy, że kobiety włoskie, reprezentowane przez Lydyą Poët, dobijają się o to; lecz w Ameryce jest także dwie prawnie uznane adwokatki. Jedna, już mężatka, Belva Lockwood, która od 1879 r. praktykuje w Waszyngtonie, ośmieszona przecież przez upadłą swą kandydaturę na prezydenta Stanów Zjednoczonych, a w każdym razie szalona głowa, jak to wykazał znany czytelnikom naszym jej list do wyborców, w którym coś patetycznie nierozsądnego było i o nas. Druga, także mężatka, Laura de Force Gordon z Kalifornii, otrzymała teraz świeżo patent na obronę, uprawnionego do występowania nawet przed sądami najwyższych instancji.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Z kroniki najnowszych odkryć naukowych i wynalazków.

Nowe spostrzeżenia dotyczące bacillus przecinka. — Czy jest on w istocie sprawcą cholery? — Czy epidemia jest przenośną? — Nieużyteczność kwarantan. — Dane statystyczne. — Rezultaty badań Dujardin-Beaumetz'a i jego opinie. — Jak straszliwymi niszczycielami są węże jadowe. — Gibbon Tonkiński. — Prastara legenda o nim. — Ryż Mandżurski. — Światło z trocin. — Kora z drzewa psiego.

(Dokończenie).

Według niego, należy wzbronić piekarzom rozczyniania ciasta wodą ze studni pozostających w bliskości dołów ustępowych i gnojowych, gdyż te najczęściej zanieczyszczają wodę. Wogóle

w czasie cholery czerpanie wody studziennej powinno być najsurowiej wzbronione.

Owoce dojrzałe, w stanie zdrowym, w ilości umiarkowanej użyte, nie są szkodliwe; potrzeba jednak je obrać ze skórki, a lepiej jeszcze spożyte gotowane. Surowych jarzyn spożywać Dujardin-Beaumetz stanowczo zabrania. We wszelkich zjawiskach cholery zaobserwowano, że niewstrzemięźliwość wywołuje najgorsze skutki: alkohol bynajmniej nie stanowi zapory dla cholery, zwłaszcza, gdy jest używanym w nadmiarze. Od napojów zimnych, od lodów należy się w czasie cholery powstrzymywać. Wszystkie te przepisy potrzeb zachowywać w czasie epidemii, jako środki od niej zabezpieczające. Cholera najczęściej rozszerza się z wydzielin: dlatego też należy jaknajprędzej je usuwać, a przedtem dezynficyować; w przeciwnym razie zarażą one wszystkie doły ustępowe.

Najdzielniejszym odwonnikiem jest siarczan miedzi, a w braku jego, chlorek wapna i chlorek cynku. Odwonniki te powinny pozostawać na dnie naczyń przeznaczonych do przyjęcia wydzielin.

Bieliznę chorych należy zanurzać w naczyniu wypelnionem cieczą złożoną z 20 kwart wody z domieszką 4 kwart siarczanu miedzi, czyli tak zwanego koperwasu miedzianego. Po półgodzinem pozostawaniu w tym płynie bielizna wyjmujemy się, wyżyma i pierze, za poprzedniem wymacerowaniem jej w wodzie wrzącej.

Środki tu podane okazały się najpraktyczniejszymi.

Ze spostrzeżeń Dujardin-Beaumetz'a korzysta obecnie Włochy; — dzięki jego metodzie, cholera prawie już ustała.

P. Urueta ogłosił niedawno ciekawe sprawozdanie dotyczące klęsk, jakie szerzą węże jadowe w krajach zwrotnikowych Azji, Afryki i Ameryki.

Statystyka Rządu Indyjskiego z roku 1880 podaje 19,060 ofiar, które utraciły życie w skutek ukąszeń węzowych. W następnym r. 1881 liczba ofiar doszła do 18,610 głów. Podobny stosunek znajdujemy w Stanach Zjednoczonych, w Kolumbii, Brazylii, w Wenezueli, w Australii i w Afryce. P. Fayrier podaje liczbę 150,000 do 200,000 osób, które od 1870 roku zginęły w Indyach od węży jadowych. Zarząd Indii, zamiast poszukiwać środka leczniczego, dotąd nie wykrytego na tę plagę, poczytał za rzecz praktyczniejszą wyznaczać nagrody za głowy tych potworów. W 1880 roku ubito 212,776 węży kosztem 11,663 rupii, a w r. 1881 zniszczono 254,966 kosztem 11,951 rupii, co czyni około 300,000 fr.

W Bengalu każdy krajowiec zabijający węża otrzymuje wynagrodzenie. Litografie kolorowane ułatwiają agentom policyjnym i służbie sanitarnej szybkie rozpoznanie gatunku. W Indyach utworzyła się kasta tak zwanych *Kanżarsów*, której procederem jest polowanie na węże. Otrzymują oni miesięcznie żołdu dwie rupie, a nadto 30 centymów od każdego węża zabitego ponad liczbę dwudziestu sztuk, miesięcznie oznaczoną, która jest obowiązkową. Nadmienić też winniśmy, że kommissarz rządowy w Birmanii wyznacza nagrody 10 do 20 rupii wioskom, których mieszkańcy odznaczają się największą gorliwością w tępieniu węży.

W Kolumbii, oprócz dwóch ptaków *calabrero* i *guacabo*, wieprze i koty są żarliwymi niszczycielami gadów. Dla zwierząt tych jad jest równie zabójczym, jak dla człowieka, lecz warstwa tłuszczu, otaczająca tkankę mięśniową wieprza, zabezpiecza go od skutków ukąszenia; co się zaś tyczy kota domowego, ten — jak podaje p. Urueta — odgryza wężom głowę i ogon a zwłoki porzuca. Kot ukąszony przez węża pada ofiarą jadu, gdy rana jest głęboką; wszelako jeżeli ukąszenie było słabem, pozostaje tylko mocne i długotrwałe zagnienie rany, z której czas wylecza.

Wyprawa tonkińska przyniosła i zdobycze au kowe. Muzeum Historii Naturalnej w Pary-

zu pozyskało nieznaną dotąd gatunek gibbona, przesłany mu przez doktora Harmanda, komisarza generalnego w Tonkinie.

W czasopiśmie „*Science et Nature*“ Kunckel d'Herculais podaje ciekawe szczegóły o tem zwierzęciu; z pracy jego korzystamy.

Gibbon ten zwany *wielkonosym*, należy do typowych, bezogonowych małp Starego Świata; członki jego przednie są nierównie dłuższymi od tylnych, a giętkość ich jest zdumiewającą. Niezrównanym jest też gibbon gimnastykiem: zwierzę to, towarzyskie i pieszczołliwe, jest całe czarne. Oblicze jego, uszy i dolna część czterech rąk, pozobawione są włosami, lecz równie mają czarną barwę. Jest to murzyn wśród małp; nos ma cienki, długi, wielce foremno kształtu.

Gibbon ten napotykanym bywa na pobrażach Tonkinu w bliskości zatoki Along. Jestestwa te żyją prawie wyłącznie na drzewach, żywią się tylko liśćmi, drobnym ptaństwem i owadami; przebywają w wielkich gromadach. Skaczą z gałęzi na gałąź w skokach przechodzących dziesięć metrów, jest przeszło 34 stóp, wstrząsając gwałtownie drzewem i czepiając się gałęzi ze zręcznością niesłychaną, uciekają zaś tak szybko, jakby miały skrzydła. Gibbony wielkonose są niezmiernie przebiegłymi, krajowcy też nie próbują ich ścigać, niekiedy tylko—co należy zaliczyć do szczęśliwych trafów—dosięga ich strzała wypuszczona z kuszy.

Głos gibbonów jest wysokim stopniu modulacyjnym; z niczem nie podobna porównać jego tonów smętnych, przeciągłych, wyrażających całą skalę rzewnych uczuć, aż do łkania roddzierającego. Smutne te tony słyszeć się dają ze wszech stron lasu, jak tylko dzień zaczyna.

Dla wyjaśnienia owych tonów żalonych dzicy mieszkańcy Tonkinu opowiadają taką legendę.

Kon-gjok (małpy innego gatunku), przybyły je dnego razu do plemienia *kon-gjenong* (gibbonów), a przyjęte gościnnie, rzekły im: „Jak się to stało, bracia, żeście wybrali na pobyt kraj tak ubogi, jak tu? Chodźcie z nami, zobaczycie, jak u nas dobrze! Tam-tam znajdziecie podostatkiem owoców wszelakiego rodzaju, bez trudu i bez niebezpieczeństwa. Tam niema strzał zatrutych, które tu was dosięgają, Bóg wie z kąd, ani paszcz drapieżnych, które się na was rzucają bez żadnego powodu. Wierźcie nam i chodźmy razem.“ Całe plemię gibbonów dało się uwieść tej ponętnej perspektywie, którą mu ukazali pobratymcy i nazajutrz porzucono ojcowiznę, wyruszając w drogę z gromadą *kon-gjoków*. Wszelako po upływie kilku dni te zaczęły żałować czynionego zaproszenia; pomyślały o tem, że teraz więcej będzie szczerk żarłocznych, z którymi dzielić się muszą pożywieniem, i postanowiły porzucić gibbonów podczas ich snu wśród lasu, gdzie zbłąkać się tak łatwo. Biedne gibbony, obudziwszy się z brzaskiem dnia i widząc się porzuconymi, zaczęły narzekać, płakać i jęczeć. Od tego czasu włóczę się one z lasu do lasu, poszukując swej ojczyzny i każdy dzień rozpoczynają skargami i płaczem.

Taką legendę opowiadają Tonkińczycy.

Ryż pospolity jest szacowną rośliną trawiastą, pokarmową; wymaga jednak gruntów wielce wilgotnych, bagnistych, których sąsiedztwo wpływa szkodliwie na ludność.

Z tego też względu oddawna poszukiwano takiej odmiany ryżu, któraby dawała się uprawiać na gruntach niezbyt wilgotnych.

Odkrycia tego dokonał Gauthier, misyonarz w Mandżurii, i przesłał wór nasienia tej rośliny

towarzystwu aklimatycznemu paryżkiemu. Chińczycy, powiada w swym raporcie Gauthier, sieją ten ryż w górach, na rozległych przestrzeniach w miesiącu Kwietniu i Maju.

Ze swej strony Jego Wielbność Dubail, prefekt apostolski w Mandżurii, donosi, że ów ryż wschodzi doskonale na gruntach piaszczystych pod 42 stopniem szerokości geograficznej. Zasiała się go w Kwietniu, zbiera we Wrześniu; piele się go i okopuje jak proso, sorgo, bób; zresztą wszystkie rośliny uprawne w Chinach są dwukrotnie radłone i okopywane w czasie wegetacji. W tym celu sieją je w bruzdach przerzniętych pługiem; okopywanie zaś ma na celu sprowadzenie ziemi wzniesionej z obu stron bruzd na korzenie. Ryż mandżurski najlepiej udaje się na gruntach poddawanych irygacji, nie wymaga jednak, jak ryż zwykły, ziemi bez przerwy nawodnianej.

Ryż ten już zaczął być uprawianym w Hiszpanii z pomyślnym rezultatem, a mianowicie w okolicach Barcelony.

W wielu zakładach obrabiających drzewo, a w szczególności w stolarniach, nie wiedzą co począć z wiórami i trocinami. Gromadzenie się ich jest niebezpiecznym, gdyż łatwo może spowodować pożar, nikt zaś dotąd nie wpadł na myśl zużytkowania tego materiału. Próby obracania trocin na opał na rusztach odpowiednio urządzonych, nie doprowadziły do niczego, równie jak prasowanie wiórów i trocin dla pozyskania sztucznego drzewa.

W takim stanie rzeczy winniśmy zaznaczyć, że obecnie w Ameryce trociny zdystylowane posługują do produkcji gazu oświetlającego.

W Kanadzie mianowicie, w którym-to kraju istnieją olbrzymie zakłady przemysłowe z potężnymi maszynami do piłowania drzewa, powstały fabryki wyrabiające gaz oświetlający z trocin, według planów skreślonych przez Tomlinsona inżyniera, byłego dyrektora fabryki gazowej w Cottingham, w bliskości Hull. Dystylacja odbywa się w retortach ustawionych w baterie podobnych do używanych przy

dystylacji łupków. Otrzymuje się przytem i produktu amoniakalne, z których również przemysł korzysta. Ze względu, że przyrządy Tomlinsona są dość prostej konstrukcyi i mogą być zastosowane na mniejszą lub większą skalę, systemat tego inżyniera wytworzyć może wszędzie światło ekonomiczne, zwłaszcza też w stolarniach i fornieniach.

Od pewnego czasu w Anglii w handlu materiałami aptecznymi pojawił się nowy produkt roślinny, a mianowicie kora z *Drzewa Psiego* (*Piscidia erythraea*). Kora ta wielce zasobną jest w żywice rozpuszczalne w eterze, a prócz tego zawiera w sobie zasadę czynną *Piscidine*.

Zasada ta posiada szacowne własności narkotyczne, z których korzystają Jamajczycy w połowie ryb. W tym celu *piscidine* rozpuszczają w alkoholu, a następnie otrzymany ztąd roztwór wlewają do wody dla znarkotyzowania ryb, które wówczas można łowić z łatwością. Na człowieku *piscidina* wywiera wpływy podobne, jak to sprawdzili lekarze angielscy. Wywołuje ona sen spokojny, niepozostawiający po przebudzeniu się żadnych nieprzyjemnych wrażeń, ani ociężałości, a jednocześnie usmierza najżywszy ból fizyczny, staje się temsamem cennym lekiem we wszelkich chorobach połączonych z dolegliwymi cierpieniami.

Piscidina niewątpliwie w niedługim czasie przejdzie do terapii na stałym lądzie Europy.

W. Niewiadomski.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się arkusz 12-ty powieści pod tytułem: **Kora**, przez Mrs Forrester.

Dzieło premiowane na konkursie ogłoszonym przez Redakcyę „*Bluszcza*”

O WYCHOWANIU MACIERZYŃSKIM

PRZEZ

ZOFIĄ KOWERSKĄ

Znajduje się do nabycia we wszystkich Księgarniach.

Komitet złożony z PP. Paul. Kraków, Jadw. Sikorskiej, P. Chmielowskiego, Flor. Łagowskiego, R. Plenkiewicza i Henr. Struve, uproszony przez Redakcyę „*Bluszcza*” do rozpoznania rękopismów uznał powyższą pracę pomiędzy nadesłanych za najlepszą i dziełu temu nagrodę przy sędził.

Publiczność nasza zyskuje w powyższej książce cenny nabytek, wspomagać mogący kobietę, w jednym z najważniejszych zadań jej życia.

Cena egzemplarza Rs. 2 kop. 25; w oprawie Rs. 2 kop. 75.

Michał Glücksberg, Wydawca;—Ulica Królewska Nr 5.

TREŚĆ. W albumie A. C..., (poezya). — Marya Bartusówna, (Wspomnienie), przez Szczęsną, (dokończenie). — Fryc i Frycek, nowella, (dokończenie), przez Michała Wołowskiego. — Listy z Mag-deburga XVII, J. I. Kraszewskiego. — Juliusz Bastien-Lepage, przez M. Ilnicką. — Kronika działalności kobiecej. — Z działu przyrody, (dokończenie), przez W. Niewiadomskiego.

Dodatek obejmuje: Arkusz 12-ty powieści pod tytułem: **Kora**, przez Mrs Forrester. — 23 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarstwa. — Dyspozycyę stołu.

Pelerynka szydełkową robotą.

Rycina Nr 9 w Blu. Nr 42.

Pelerynka zrobiona z niebieskiej moherowej włóczki, szydełkiem średniej grubości. Zaczyna się robić od szyi, na założeniu ze 103 oczek, robi się w lewo i napowrót, przy czem pierwsze rzędy muszą być ściślejsze, a im dalej, tem luźniejsze. Kolej 1: 3 ocz. najbliższe, które muszą być uważane jako słupek, opuścić, potem ciągle: 1 słupek w każde oczko założenia. Kolej 2: 3 pow. ocz., potem ciągle naprzemian: 1 ścis. o. w następne o. Kolej 3: 3 pow. ocz., potem ciągle naprzemian: 5 słup. o ocz. ścis. poprzedniej kolei i 1 ocz. ścis. w środkowy z 5 słupków. Kolej 4 do 7, jak poprzednia kolej. Kolej 8: 3 pow. ocz., potem ciągle naprzemian: 1 ścisłe oczko w środkowy z 5 słup. poprzedniej kolei i 7 podw. słup. w ocz. ścis. Kolej 9 do 13, jak poprzednia. Kolej 14: 3 pow. ocz., potem ciągle naprzemian: 2 ścis. ocz. o 4 i 5 z 7 słup. podw., 7 słup. podw. o następne ścis. ocz. Kolej 15: 3 pow. ocz., potem naprzemian: 2 ścis. ocz. o 4 i 5 z 7 podw. słup. i 8 podw. słup. o 2 ścis. ocz. Kolej 16 do 19 jak poprzednia, tylko w 19 kolei zrobić zamiast 2, 3 ścisłe ocz. o 4, 5 i 6 z 8 słup. podw. Aby pelerynka na plecach była trochę szerszą, trzeba dodać jeszcze 6 rzędów, które robią się jak poprzednie, tylko zamiast 8, 9 słup. w 3 ścis. o; pierwsza z tych 6 kolei robi się na 22 środkowych grupkach słupków, druga na 17, trzecia na 12, czwarta na 7, piąta na 2, a szósta ostatnia tylko na 1 środkowej; ponieważ jednak i te dodatnie koleje robią się, nie ucinając nitki, tylko odwracając robotę i ponieważ każda następna jest coraz krótszą; trzeba więc pozostałe kawałki, każdej poprzecznej kolei, zapełnić oczkami ścisłymi, a w miejscach bardzo wyciętych słupkami tak, aby pelerynka z tyłu miała formę okrągłą. Aby połączyć 9 słup. ostatniej dodatkowej kolej z poprzedzającymi, trzeba zrobić po 1 ścis. ocz. w każde oczko ostatniej długiej kolei i tak aż do przedniego brzegu pelerynki. Następnie zakończyć pelerynkę ze wszystkich stron koleją ścis. ocz. i robić ząbki jak następuje: Kolej 1: 1 ścis. ocz. w najbliższe ocz. brzegu, * 3 pow. ocz., 7 podw. słup. w czwarte ocz., 3 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w czwarte ocz.: od * powtarzać. Kolej 2: * 2 ścis. ocz. przedzielone 5 pow. ocz., o najbliższe ścis. ocz. poprzedniej kolei, 3 pow. ocz., 7 podw. słup. przedzielonych jednym pikotem (t. j. 4 pow. ocz. i 1 ocz. ścis. w ocz. poprzedniej kolei) w najbliższe 7 ocz. pow., 3 pow. ocz.; od * powtarzać. Potem robić u szyi, z drugiej strony ocz. założenia, najpierw 2 koleje, ciągle po jednym słup. w każde ocz. założenia. Kolej 3 ciągle naprzemian: 2 słup. ścia-





gnięte w jedno oczko, pomiędzy trzy najbliższe słup. i 1 pow. ocz. Kolej 4: * 9 podw. słup. przedzielonych 1 pikotem w wolną jeszcze петельkę trzech słup. przedostatniej kolei, 1 słupek w wolną петельkę 1 słupka przedostatniej kolei, 2 ścis. ocz. przedzielone 5 pow. o. o najbliższe ocz. poprzedniej kolei, 1 pik., 1 słup. w to samo ocz., w które zrobiony poprzedni słup., 1 pikot, od * powtarzać.

Chusteczka robotą szydeł.

Rycina Nr 10 w Bl. Nr 42.

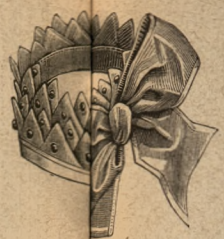
Chusteczka czworograniasta szydełkową robotą z chińskiego miękkiego jedwabiu, koloru viel'or, zaczynając od środka. Na założeniu z 6 oczek złączonych za pomocą 1 ścis. ocz. w kółeczko, robi się kolej 1: 3 pow. ocz., 5 słup., z których 2 i 3 przedzielone 3 pow. ocz., 3 razy naprzemian: 1 pow. ocz., 6 słup., z których środkowe przedzielone 3 pow. ocz. Kolej 2: 4 razy 12 słup., z których 3 i 4, 6 i 7, 9 i 10 przedzielone 3 pow. ocz. o najbliższe 3 ocz. Kolej 3: * 3 razy 6 słup., z których 2 środkowe przedzielone jednym pow. ocz., o najbliższe 3 o., jednakże w drugim powtórzeniu 6 słup., zamiast 1 ocz., zrobić 3 pow. ocz.; od * 3 razy powtórzyć. Kolej 4 i 5 jak 3; jednakże w 5 kolei na rogach zamiast 6 słup. przedzielonych 3 ocz., zrobić 8



Nr 4. Kapelusz aksamitny. Tył (Do ryc. 3 w Bl. Nr 42).



Nr 8. Żabot koronkowy z kołnierzykiem.



Nr 3. Kołnierzyk z aksamitu.



Nr 9. Kołnierzyk stojący z żabotem.



Nr 5. Kapelusz filcowy. Tył. (Do ryc. 2 w Bl. Nr 42).

powinny być ułożone z przodu żabotowo, podług ryciny. na kołnierzyku, w podługne fałdy, a z tyłu w dwie петельki. Z przodu trzy długie agrafki, z których dwie na pół ukryte pod koronką i jedna takż z tyłu, dopełniają żabotu.

Kołnierzyk stojący z żabotem.

Rycina Nr 9.

Pasek kołnierzyka z muslinu, 4 centim. szeroki, pokryty na wierzchu pliskami, a pod spodem podszyty gładko kremowem surah. Do kołnierzyka z przodu przyszyty 16 cent. długi, a 10 centim. szeroki żabot, z drobno uplisanego surah, do tego przyszyte u dołu dwa, 28 cent. długie końce wstażki. 10 c. szerokiej, składającej się ze szlaku w tureckim guście i pluszowego brzędu; wstażki te u góry ścięte spiczasto, u dołu ufałdowane. Bufa z dwóch 30 cent. długich, a 28 cent. szerokich kawałków surah; zakończona w pasie dużą kokardą z kremowej repsowej wstażki i mała kokardka pod szyją, dopełniają żabotu.

Egretki z piór do kapeluszy.

Rycina Nr 10 i 11.

Obie egretki stosowne są do przybrania kapeluszy okrągłych. Egretka ryc. 10 zrobiona z jasno-zielonych strusich piór, u góry trzy rozpo-



Nr 7. Paltocik dla chłopczyka od 8 do 10 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr V, fig. 38-44.

Nr 6. Ubranie dla chłopczyka od 9 do 11 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr IV, fig. 28-37.



Nr 13. Suknia z dyagonalu. Przd. (Do ryc. 24 w Bl. Nr 42). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 11-19.

Nr 14. Suknia z beżu i brokateli. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 45-53.

przedzielonych 5 ocz. pow. Kolej 6: * 6 słup., z których środkowe przedzielone 1 pow. ocz., o najbliższe pow. ocz., na rogach 12 słup., z których 3 i 4, 9 i 10 przedzielone 1, a oba środkowe słup. 3 pow. o., o 5 ocz. poprzedniej kolei, 6 słup. z których środkowe przedzielone 1 pow. ocz., od * 3 razy powtórzyć. Kolej 7: * 5 razy po 6 słu., z których środkowe przedzielone 1 pow. ocz., w pow. ocz. poprzedniej kolei, na rogu zamiast 1, 3 pow. o., od * 3 razy powtórzyć. Kolej 8 jak 7,



Nr 10. Egretka z piór.

tylko na rogach zamiast 6, 8 słu. z których środkowe przedzielone 1 pow. ocz. Kolej 9: * 2 razy po 6 słup., z których 2 środkowe przedzielone 1 pow. ocz., 6 słu. z których 2 środkowe przedzielone 1 pow. ocz., zaczepiając je pomiędzy 4 słup. o najbliższe 6 słup. jak poprzednio, od 1 raz powtórzyć, potem 6 słu. jak wyżej, od * 3 razy powtórzyć. Kolej 10 jak 8, tylko zamiast 5 razy, 7 razy po 6 słup. Kolej 11 jak 9, tylko zamiast 2, 3 razy po 6 słup. Kolej 12 jak 5, tylko na rogach zamiast 5, jedno pow. o., i zamiast 3 razy, 9 razy po 6 słu. Kolej 13 do 19, jak 6 do 12, przybierając na rogach w sposób wyżej opisany. Kolej 20 i 21, jak 9 i 10. Kolej 22 do 28, jak 13 do 19. Kolej 29 do 32, jak 22 do 25. Kolej 33 do 37, jak 28 do 32. Kolej 38 i 39, jak 31 i 32. Po zrobieniu środka chustki, robi się w około koronkę, składającą się z 13 kolei. Kolej 1 ciągle: 1 ścis. ocz., 3 pow. ocz. 4 słup. o najbliższe pow. o., na rogach w tej i w każdej następnej kolei, przybierając o ty-



Nr 12. Okrycie z aksamitu. Opis pierw. str. tabl.



Nr 11. Egretka z piór.

le, aby się koronka nie opinała. Kolej 2 ciągle: 4 słup., 3 pow. ocz., 1 ścis. o. w najbliższe 3 pow. ocz.; na końcu 4 słup. w ostatni 4 słup. poprzedniej kolei. Kolej 3 do 12 ciągle naprzemian, jak i 2 kolej, tylko trafiają ocz. 1 kolei o najbl. 3 o. pow. Kolej 13 ciągle naprzemian: 10 podw. słupków o najbliższe 3 pow. o., 1 ścis. o., o następnę 3 pow. ocz.

Kołnierzyk z atlasowej wstażki.

Rycina Nr 3.

Kołnierzyk składa się z większych i mniejszych żabków z kremowej wstażki, wszytych u dołu w takąż wstażeczkę, zakończony z przodu dużą kokardą. Na każdym żabku naszyta złota perełka.

Żabot koronkowy z kołnierzykiem.

Rycina Nr 4.

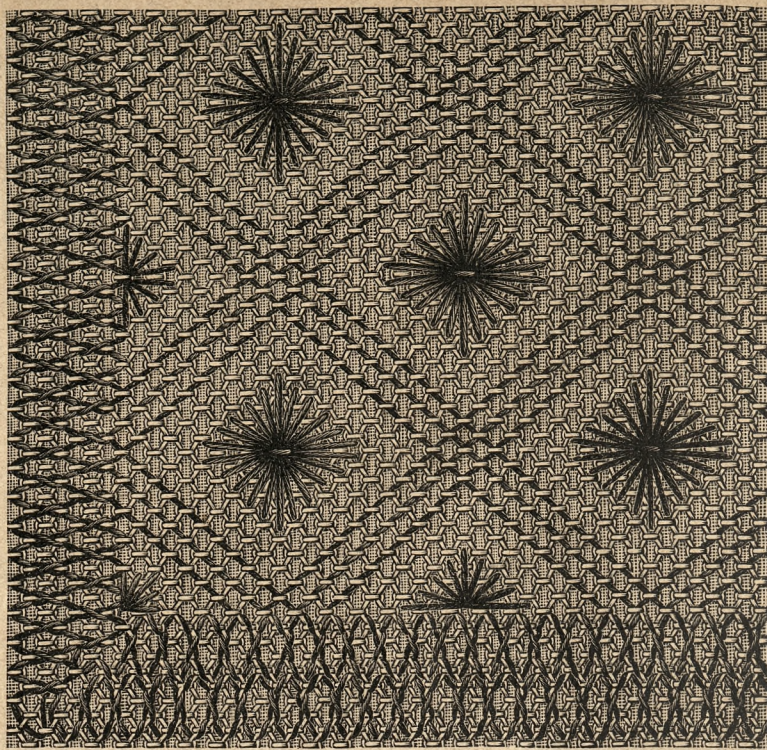
Na zrobienie żabotu ukrajać 14 cent. długi, a 3 cent. szeroki kawałek podwójnie złożonego muslinu, przyszyć do dolnego końca 64 cent. długi kawałek 16 cent. szerokiej koronki, zeszytej końcami i mocno zmarszczonej u góry. Do górnych rogów kawałka muslinu przyszyć dwa 3 cent. szerokie, a 22 c. długie paski muslinu, które mają służyć za podstawę kołnierzyka zapiętego z tyłu; na pokrycie kołnierzyka potrzebne są dwa 80 cent. długie kawałki koronki, które

wione pióra, związane końcami i ułożone jeden na drugim, w dole 4 małe piórka i kitka ozdobiona metalowymi blaszkami. Rycina 11 przedstawia egretkę z trzech, jasno-oliwkowych, pasowo i ciemno-zielono nakrapianych strusich i dwóch orlich piórek.

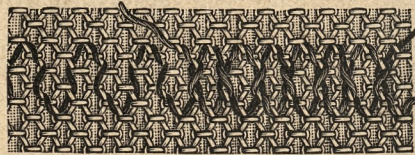
Serwety ozdobione haftem.

Rycina Nr 17 do 22.

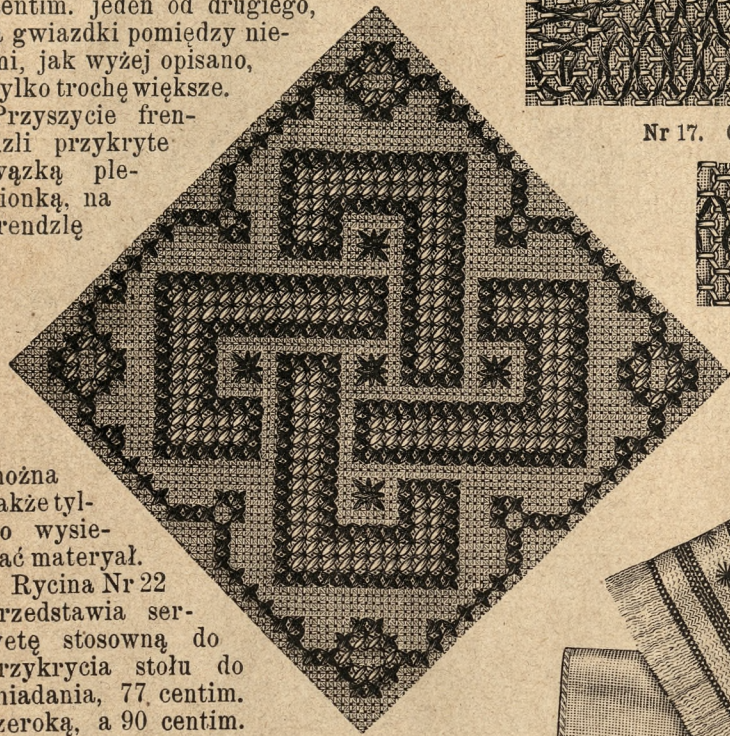
Serwetka przedstawiona na ryc. 21, ma 80 cent. długości, a 74 cent. szerokości, zrobiona z kremowego materiału, ozdobiona haftem i oszyta frendzlą. Kratka zrobiona pasowym jedwabiem w dwóch cieniach, średnia nitka ciemniejsza, a obie boczne jaśniejsze; rzucik naprzemian jaśniejszym to ciemniejszym, ścięciem pocztowym. Oba wąskie szlaczki haftują się podług ryciny 17, w odstępnie 5¹/₂ centim. jeden od drugiego, a gwiazdki pomiędzy nimi, jak wyżej opisano, tylko trochę większe. Przyszycie frendzli przykryte wąską plecionką, na frendzle



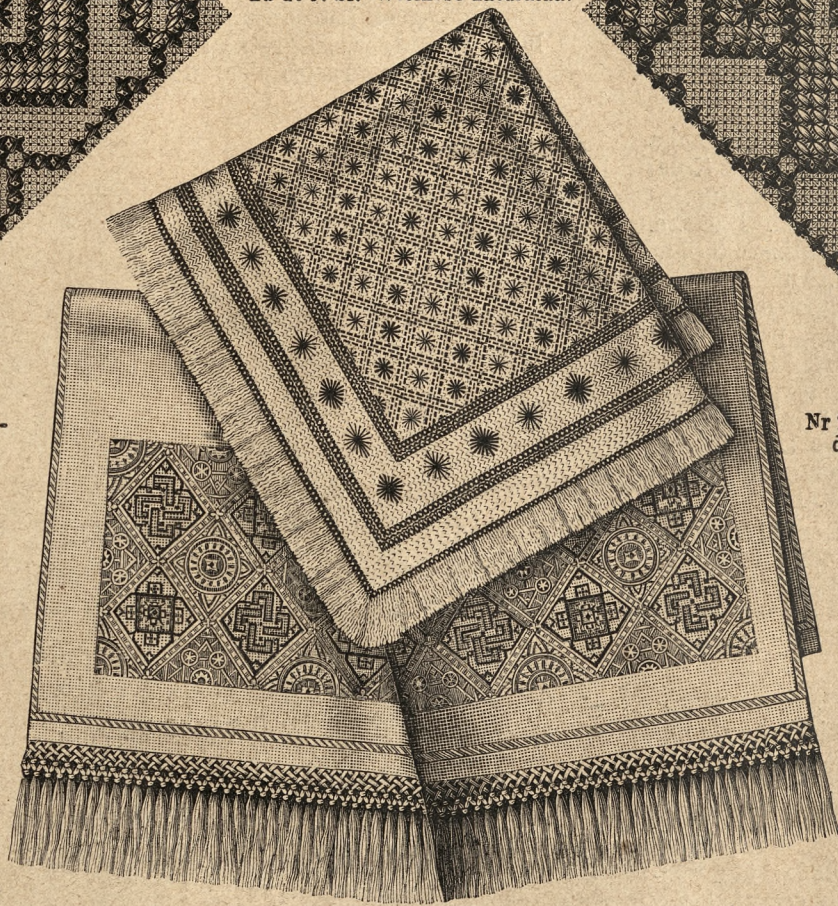
Nr 17. Część haftu do ryc. 21. Wielkość naturalna.



Nr 18. Wykonanie wąskiego szlaku do r. 21. Wielkość naturalna.



Nr 19. Wzór haftu kwadrata do ryc. 22. Wielkość naturalna.



Nr 20. Wzór haftu kwadrata do ryc. 22. Wielkość naturalna.

Nr 21 i 22. Serwety haftowane. (Do ryc 17—20).

można także tylko wysiepać materiał.

Rycina Nr 22 przedstawia serwetę stosowaną do przykrycia stołu do śniadania, 77 centim. szeroką, a 90 centim. długą, zrobioną z lnia-nej krepki kremowego koloru, ozdobione szlaczkiem, składającym się z kwadratów haftowanych, na podobnym do kanwy materiale „Jacquard“ i oszyta fabryczną frendzlą. Kwadraty haftują się podług ryciny 19 i 20 ścięciem krzyżowym i smyrneńskim jedwabiem, koloru palonej cegły w dwóch cieniach, na dwóch nitkach wysokości i szerokości.

Przepisy gospodarskie.

Czernina.

Czernina z krwi kaczki lub gęsi, jest jedną z najsmaczniejszych i najpożywniejszych zup. Porą na czerninę jest głównie jesień; gdyż i drobiu tego więcej się wtedy bije i owoców, które smaku dodają, wielka obfitość. Kaczkę czy gęś zarzynając, spuścić krew na przegotowany osolony zimny ocet, mieszając ją dobrze z octem, aby się nie skawiała. Ugotować zwyczajny rosół z kości i odpadków od pieczenia, dodając przy końcu

gotowania drobka, które się kładą w wagę. Na samym wydaniu zaprawić rosół rozbitą z odrobiną mąki krwią, dolewając octu podług smaku i koniecznie trochę cukru. Oddzielnie ugotować, obranych gruszek i jabłek pokrajanych na ćwiartki i wrzucić wraz z sosem w wagę. W braku świeżych owoców gotują się suszone śliwki i gruszki. Zwykle dają się do czerniny drobne kluseczki krajane w kostkę, które gotować na wodzie oddzielnie. Taką samą czerninę robić można z krwi prosiaka lub zająca, mniej jednak będzie smaczna.

Doświadczenie gospodarskie.

Blanżerowaniem, zowie się odgotowanie, czyli zniszczenie surowizny w owocach lub jarzynie, mających się zakonserwować. Otóż każdy owoc, czy jarzyna, na ten cel przeznaczona, kładzie

się w zimną wodę i trzyma na ogniu, dopóki przedmiot nie zmęknie i nie straci surowizny.

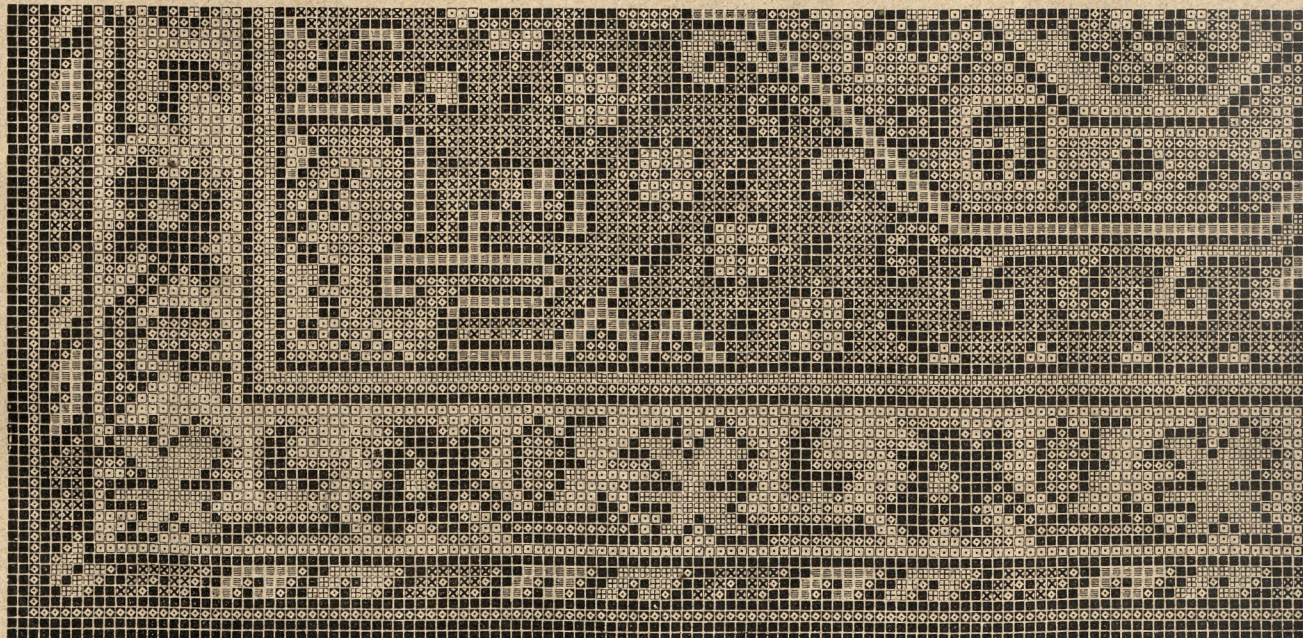
L. C

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa „à la reine“ czyli „purée“ z drobiu.
2. Paszteciki w kachach.
3. Poledwica z garniturem.
4. Kalafiory.
5. Kuropatwy z kompotem.
6. Śmietana bita z biszkopkami.

UWAGA.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót dziś podane, dołączoną była do 42 numeru Bluszczu.



Objaśnienie znaków: ■ czarny, □ pasowy, * oliwkowy, □ jasno-niebieski, □ szary, □ żółty.
Nr 23. Czwarła część dywanu haftowanego ścięciem krzyżowym lub smyrneńskim.